

Dziś w numerze: ● **Harnasiowe wspominki** ● **Historia i współczesność**
 ● **Miejsce dla żywych** ● **Polski udział w obrazie filmu światowego 1967**
 ● **Jeden sprawiedliwy** ● **Recenzje** ● **Felietony**

ODGŁOSY



Nr 21 (435)
 28. V. 1967 r.
 10 stron
 Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X



ANDRZEJ MAKOWIECKI

NOC przed OSTRYM STARTEM

Do Poznania pojechałem na Wyścig Pokoju. Po drodze było Kutno, przystrojone pięknie do startu. A oto i sam Poznań: trasa biegnie długo obok torów kolejowych; z obu stron szosy — flagi, transparenty we wszystkich językach świata, co kilkadziesiąt metrów ogromne, białą farbą wypisane nazwiska naszych zawodników — Kegel, Magiera, gazu, Czechowski, Polewiak, tempo, Gawliczek, Bławdzin...

Poznań, to piękne miasto. Może nawet najpiękniejsze w Polsce. Obok wytwornego centrum — są rozległe parki i ogrody, pałace, błonia, działki willowe. A jakie zabytki budownictwa? Ogromne, ciemne gmazyszka wyższych uczelni, jasna Filharmonia, Pałac Kultury, który naprawdę jest pałacem. Poza tym — Poznań jest miastem prohibicji. Przynajmniej teoretycznie. Pierwszego, dziesiątego, dwudziestego piątego i ostatniego dnia każdego miesiąca obowiązuje tu zakaz sprzedaży alkoholu. Zakaz ten dotyczy nie tylko sklepów — także wszystkich lokali. Nie tylko wódki — także piwa. A w pozostałe dni miesiąca, alkohol sprzedaje się jedynie w określonych godzinach, najwyżej do ósmej wieczorem. Poznań jest omyślany jako miasto dla ascetów, choć po ulicach szwenda się wielu pijaków.

Do rzeczy. Przyciechałem na Wyścig Pokoju. Pogoda — cudna. Tempo na trasie — niesłychane. Od wczesnych godzin porannych trwało niesamowite podniecenie i grupki ludzi szły w kierunku startu — dla jednych były to skrawki chodników, dla innych słupy, drzewa i nasywy sterujące w pobliżu stadionu, leżące inni przymierzali się z okien i balkonów rozpychając kociami krewnych i sasiadów. Finał nastąpił nagle, nieoczekiwanie, gdyż kolarze mieli wiatr w plecy i przyciechali pół godziny wcześniej niż przewidywał program. To był bardzo brzydki kawał. W wyścigach kolarskich najważniejsze i zarazem najbardziej niebezpieczne jest oczekiwanie, bo sam moment

Dalszy ciąg na str. 4

TROSKI WYDAWCÓW

Rozmowa

z Heleną Zatorską

Z okazji trwających w naszym kraju Dni Oświaty, Książki i Prasy zwróciliśmy się do Heleny Zatorskiej, dyrektora Departamentu Wydawnictw w Ministerstwie Kultury i Sztuki PRL z prośbą o wy-

wiad na temat sytuacji wydawnictw regionalnych, a w ich rzędzie „Wydawnictwa Łódzkiego”. Działająca w naszym mieście oficyna wydawnicza nie należy do potentatów krajowych w tej dziedzinie, ale ma na swym koncie szereg rzeczywistych sukcesów. Dość powiedzieć, że w poczci i prozie debiutowało w tym wydawnictwie ponad 50 autorów. Daje się też stwierdzić niestanny, choć powolny rozwój „Wydawnictwa Łódzkiego”. Czy ta zaśluzona, choć młoda placówka kultury osiągnęła już pułap swych możliwości, czy w całej pełni wykorzystuje możliwości łódzkiego środowiska naukowego i środowisk twórczych? Te właśnie i inne jeszcze sprawy porusza przedstawiciel naszej redakcji w rozmowie z Heleną Zatorską.

„ODGŁOSY”: Chcielibyśmy zacząć od zagadnienia bardzo ogólnego, ale też bardzo ważkiego: Jakie miejsce w polityce wydawniczej Polski Ludowej, zajmują wydawnictwa regionalne? Regionalne, chcemy to dodać, przynajmniej z nazwy.

HELENA ZATORSKA: Dlatego też wolałabym termin — wydawnictwa pozawarszawskie. Znaczenie każdego z nich uzależnione jest od dwóch czynników, od miejscowych tradycji edytorskich oraz od kształtowania się środowisk twórczych danego regionu. Także mada kraju determinuje charakter działalności edytorskiej, czego najlepszym przykładem jest „Wydawnictwo Morskie”.

„Wydawnictwo Literackie” w Krakowie i „Ossolineum” we Wrocławiu reprezentują ciągłość najstarszych tradycji edytorskich w naszym kraju, co chyba dostatecznie wyraźnie określa ich znaczenie. A inne? Kontynuując te charakterystyki należy wymienić wydawnictwo „Ślask”, którego obecność determinowała z jednej strony potrzeby naszego przemysłu, z drugiej zaś cały

kompleks innych spraw, które trudno określić jednym słowem. Poważny procent działalności edytorskiej „Ślaska” stanowi literatura fachowa, literatura górnicza na poziomie inżynierskim. Ale Śląsk jest także poważnym ośrodkiem literatury niemieckojęzycznej i coraz bardziej kręznym ośrodkiem twórczym. „Wydawnictwo Poznańskie” z kolei jest przykładem połączenia tradycji i współczesności, Problematyka przeszłości Wielkopolski traktowana jest tam na równi z zagadnieniami dnia dzisiejszego. Twórcy związani z tym wydawnictwem mają bardzo zdrowy patriotyzm lokalny. Obecność w Poznaniu Instytutu Zachodniego pozwala na rozwój literatury niemieckojęzycznej obejmującej całokształt spraw niemieckich, podczas gdy „Ślask” wyspecjalizowany jest w tym nurcie, który można by nazwać: korzenie stosunków pol-

Dalszy ciąg na str. 3



W centrum opinii krajowej i zagranicznej znajdują się obrady VIII plenarnego posiedzenia Komitetu Centralnego PZPR, a zwłaszcza przemówienie Władysława Gomułki w drugim punkcie porządku dziennego. Jak wiadomo czytelnikom z doniesień agencji, w przemówieniu tym sekretarz KC omówił znaczenie międzynarodowych dwustronnych układów, zawartych między Polską a Czechosłowacją, Niemiecką Republiką Demokratyczną i Bułgarią oraz konferencji europejskich partii komunistycznych i robotniczych w Karlovych Varach.

W sobotę prasa codzienna przyniosła tekst tego wystąpienia. Pierwsze komentarze zagraniczne zwracają szczególną uwagę na wyeksponowanie przez Władysława Gomułkę problemu niemieckiego, a zwłaszcza zobowiązania, jakie przyjęła na siebie Polska obrony zachodnich granic NRD oraz kroków, jakie musiałby podjąć rząd Kiesingera, aby wykazać, że rzeczywiście szuka dróg do zmiany polityki wschodniej w kierunku poprzedników. Niektórzy komentatorzy podkreślają zdecydowanie, z jakim Polska podejmuje problem niemiecki.

Wydarzeniem, godnym odnotowania, jest kolejna konferencja prasowa prezydenta de Gaulle'a. Zawsze oczekiwana z wysokim zainteresowaniem — tym razem przyniosła przede wszystkim wskazówkę co do stanowiska Francji wobec zabiegów W. Brytanii o przystąpienie do EWG.

Prezydent Francji oświadczył uprzednio, że nie zamierza postawić weta, jednocześnie jednak zarzucił dla Anglii wcale nie optymistyczne prognozy.

Rozważył on trzy możliwości związane z ewentualnym wejściem W. Brytanii do Wspólnego Rynku: niewprowadzanie zmian w traktacie rzymskim, co musiałoby doprowadzić do zmiany struktury EWG, stowarzyszenie EWG z EFTA oraz odroczenie aż wewnętrzna ewolucja gospodarcza, jaką przechodzi Anglia doprowadzona zostanie do końca. Nie ukrywał przy tym, że proponuje raczej trzecie rozwiązanie.

Aby zrozumieć, co oznaczają te sugestie podajmy, jakie jest stanowisko premiera Wilsona. Otóż pierwszej ewentualności on sam nie bierze pod uwagę, drugą — odrzuca, a o trzeciej mówi, że może być równoznaczna z odroczeniem sprawy w nieskończoność.

Można więc chyba słowa de Gaulle'a skomentować następująco: proste bardzo, podejmijcie rokowania z sześciu krajami, członkami EWG, ale z góry uważam, że negocjacje te nie doprowadzą do niczego. Jest to więc pośrednia forma odmowy, wypowiedzianej jednak tak, aby nie obrazić rządu brytyjskiego.

Agencja Reutersa przewiduje, że „de Gaulle będzie zdecydowanie dążyć do przekonania pozostałych partnerów Francji w EWG, iż W. Brytania nie nadaje się jeszcze do tego, by wejść do organizacji. Sądzi on, że przynajmniej NRF i Włochy podzielią jego poglądy...”

Nie muszą zapewne dodawać, że w tej sytuacji zapowiedziana na koniec maja konferencja „szczytu” EWG zapowiada się nader interesująco...

Wojna wietnamska wkroczyła znów na kolejny niebezpieczny szczebel. Wojska amerykańskie, zasilone oddziałami sajsjońskimi, 18 maja — po uprzednim wielogodzinnym bombardowaniu tego terytorium — wtargnęły do strefy demilitaryzowanej. Oznacza to zlikwidowanie neutralnego pasa buforowego, jaki decyzją Konferencji Genewskiej z 1954 roku ustanowiony został między Wietnamem północnym i południowym. Jego szerokość wynosiła 20 km. USA już niejednokrotnie atakowały ten teren z powietrza i morza, nigdy jednak nie kierowały tam sił lądowych. Krok, jaki teraz podjęły, nie może być oceniany inaczej niż jako dalsze wzmaganie agresji.

Perfidia Waszyngtonu polega na tym, że właśnie wówczas, kiedy siły amerykańskie wkraczają do strefy, prezydent Johnson zapewniał, że cele USA w Wietnamie „są nadal ograniczone” i że Stany Zjednoczone o niczym innym nie marzą, jak tylko o przywróceniu pokoju. Chyba sam w to nie wierzy, iż decyzja ta ów moment przyspiesza...

Wiedomość o przybliżeniu teatru wojny do granic DRW wyparła z łanów prasy wszelkie rozważania co do możliwości polityczno-dyplomatycznego działania. Ucichły pogłoski i spekulacje o rzekomym „szukaniu kontaktów”, ponieważ nikt rozsądny nie wierzy, aby obecnie było to możliwe.

Ich miejsce zajęło przypomnienie słów U Thanta, który przed kilkunastu dniami (o czym pisaliśmy w ub. tygodniu) z powagą ostrzegł przed dalszą eskalacją. Obecny bieg wydarzeń prowadzi bowiem do bezpośredniej konfrontacji między USA i ChRL, a w dalszej kolejności — także sojusznikami Chin. Ten najpoważniejszy z dotychczasowych głosów przestrogi został jednak zlekceważony.

Poczynania Johnsona, które są przysłowiowym igraniem z ogniem, budzą duży niepokój w Stanach Zjednoczonych. Daje temu wyraz deklaracja 16 senatorów, podpisana m. in. przez W. Fulbrighta i R. Kennedy'ego przeciwko wojnie, w której czytamy m. in.:

„Sygnatariusze tej deklaracji, bez różnicy — demokraci czy republikanie — podzielają przekonanie, że niniejsza tragiczna wojna w Wietnamie powinna być uregulowana w drodze rokowań bądź porozumienia...”

W deklaracji jest wiele niekonsekwencji, nie zmienia to jednak jej sensu — przekonania autorów, że pozostaje tylko droga pokojowa...

W. SŁAWSKI

Tkronika Tygodnia

■ Na 100 mieszkańców Londynu 35 ma telefon.

■ Bertrand Russell: „Źródłem kłopotów jest powszechna w całym świecie opinia, że lepiej jest zaszokować wroga niż sobie samemu dobrze zrobić”.

■ W fińskim ruchu robotniczym zarysowuje się zbliżenie między socjaldemokratami a komunistami.

■ Na zaproszenie teatrów miejskich w Essen Kazimierz

lutego br. w Waszyngtonie, na której dyskutowano zbliżające się wydarzenia w Grecji. Na naradzie tej, którą komentator przyrównuje do „lamentu greckiego chóru nad zbliżającą się tragedią”, przedstawiono raport CIA „nie pozostawiający wątpliwości, że zanoszą się na wojskowy przewrót w Grecji za wiedzą, jeśli nie aprobatą króla”.

■ Nowo wydany w Anglii słownik skrótów literowych w rodzaju CIA, USA itp. zawiera ich aż 4 tysiące.



CDU: Zagramy jak nasi ojcowie. (The Christian Science Monitor)

Dejmek reżyseruje przedstawienie adaptacji scenicznej powieści Jerzego Andrzejewskiego „Ciemności kryją ziemię”.

■ XXI Zjazd Komunistycznej Partii Szwedzkiej dokonał zmiany nazwy partii na „Partię Lewicy (Komunisty)”.

■ Główny Zarząd Polityczny Armii Chińskiej wprowadza dystynkcje dla żołnierzy i oficerów. Będzie to okrągły znaczek z wizerunkiem Mao Tse-tunga oraz prostokątny z napisem zawierającym faksimile Mao Tse-tunga „Służbę narodowi”. Wizerunek zawiera profil Mao na złotej gwiazdce z promieniami słonecznymi. Dystynkcje mają wyrażać więź między myślnymi Mao Tse-tunga i żołnierzami Chińskiej Armii Ludowej.

■ Spiker telewizji hiszpańskiej odczytując komunikat meteorologiczny, który zapowiadał deszcz dodał: zakładam się o własne włosy, że tym razem prognoza się sprawdzi. Następnego, pogodnego wieczoru spiker pojawił się telewizjom — bez włosów.

■ New York Post w komentarzu zatytułowanym „Ateńska tragedia” pisze o tajnej naradzie amerykańskich przywódców w połowie

■ W Pekinie rozwija się na szeroka skalę propagandę wokół żony Mao Cziang Czing. Na mieście pokazano jej afisze przedstawiające sylwetkę Cziang Czing na tle olbrzymich tłumów. Umieszczony obok napis głosi: „Uczy się u Cziang Czing wielkiego chorażego rewolucji kulturalnej”.

■ Ponad 100 tysięcy mieszkańców Neapolu wzięło udział w pogrzebie jednego z najpopularniejszych aktorów włoskich Toto. W tym mieście przed sześćdziesięciu laty Toto przyszedł na świat w arystokratycznej rodzinie księcia de Curtis Gallardi, wywodzącej się w prostej linii z rodu cesarzy Bizancjum. — Które ze swych filmów wspania pan z największą przyjemnością — zapytano artystę w jednym z ostatnich udzielonych wywiadów: „Złoty Neapol”, „Sprawcy nieznani”. Nie ma ich wiele. We Włoszech komedia uważa się za gatunek drugorzędny, a przecież jest to jedna z najważniejszych form sztuki, na które oczekują miliony — odparł artysta.

■ Prezydent Johnson stwierdził w czasie konferencji prasowej 18 bm., że „nie przewidywał wystąpienia z nową in-

cyjatywą w celu postawienia sprawy wietnamskiej na forum ONZ”.

■ Wojskowy korespondent „New York Timesa” H. Baldwin przewiduje, że Chiny w ciągu 18 miesięcy lub 2 lat zdolają wyprodukować pociski rakietowe o średnim zasięgu (około 2400 km), a w ciągu 5-10 lat rakiety o dalekim zasięgu, które będą mogły dotrzeć do Stanów Zjednoczonych. Chiny według Baldwina są w stanie produkować 2 bomby atomowe miesięcznie, nie zdolają natomiast wyprodukować dotychczas ładunku wodnorodnego.

■ Statystycy podają, że polowa mieszkańców globu urodziła się już po zakończeniu drugiej wojny światowej.

■ Od 14 lat nie słabnącym powodzeniem cieszy się grana na scenie Teatru Dramatycznego w Brześciu sztuka Konstantina Guborewicza „Twierdza Brzeska”. Utwór ten napisany został wkrótce po ukończeniu wojny i poświęcony bohaterom obrońcom miasta.

■ Opierając się na danych uzyskanych z Londyńskiego Instytutu Studiów Strategicznych Agencja Reutersa przeprowadziła analizę potencjału wojskowego na Bliskim Wschodzie. Izrael według tych danych dysponuje armią liczącą 71 tysięcy żołnierzy. Siły ZRA liczą 190 tysięcy. W wypadku konfliktu Izrael może jednak powołać pod broń rezerwy i wystawić armię 275 tysięcy żołnierzy w ciągu 2-3 dni. Jeśli chodzi o siły w ZRA to w razie konfliktu mogą zostać powiększone o formacje Gwardii Narodowej i jednostki rezerwy liczące w sumie 120 tysięcy osób.

■ Każdego roku odbywa się w świecie 200 festiwali filmowych. W tej sytuacji zachodni producenci filmowi postanowili na swoim niedawnym zjeździe uznać za istotnie ważne o znaczeniu międzynarodowym tylko 5 festiwali filmowych, a mianowicie w Cannes, Moskwie, Berlinie, Wenecji i San Sebastian.

■ Jak wynika z wywiadu dr Vaclava Pavlika zamieszczonego w czechosłowackim dzienniku „Svobodne slovo” w końcowej fazie opracowania jest w CSRS ustawa o prawie przezwania się i zgromadzeń. Dotychczasowa ustawa nie dawała już egzaminu ponieważ zarówno ona jak i prze-

piszy wydane na jej podstawie wychodzą z nieprawidłowej koncepcji, jakoby społeczeństwo socjalistyczne było jednolite, jakoby nie istniało w nim zróżnicowanie interesów poszczególnych grup i ludzi. Nowa ustawa umożliwiła tworzenie dobrowolnych organizacji o różnorodnych formach. Powinna ona dokładnie ustalić — twierdzi Pavlicek — kiedy organ państwowy może nie udzielić zezwolenia na powstanie organizacji lub też zakazać jej działania. W takim wypadku powinna istnieć możliwość sądowego zbadania każdej decyzji.

■ 26-stronicowy maszynopis noweli amerykańskiego pisarza Ernesta Hemingwaya zostanie obok 16 jego listów i drugiego niekompletnego rękopisu sprzedany na aukcji 24 bm. Maszynopis ten zawiera 350 słów z własnoręczną korektą pisarza i jest jedynym niepublikowanym rękopisem Hemingwaya, jaki przeznaczony był na sprzedaż na aukcji.

■ Premier Kanady Pearson w związku z dramatycznym wystąpieniem U Thanta: „Perspektywy przeciągania się w nieskończoność wrogich działań brzemienne są oczywiście w niebezpieczeństwa, dlatego też rząd kanadyjski czyni wszystko co jest w jego mocy, aby pomóc do zakończenia wojny”.

■ Amerykański dziennikarz pochodzenia egipskiego S. Malley opublikował wywiad, którego miał mu udzielić premier Czou En-laj. Premier ChRL miał oświadczyć, że Chiny Ludowe będą interweniowały w konflikcie wietnamskim w jednym z trzech przypadków: jeśli zwróci się o to rząd Demokratycznej Republiki Wietnamskiej, jeśli Chiny poczują się bezpośrednio zagrożone w wyniku lądowania wojsk amerykańskich w DRW, jeśli dojdzie do zawarcia układu pokojowego, który nie uwzględniałby w stopniu zadowalającym interesów Wietnamskiej Republiki Demokratycznej. Rzecznik Departamentu Informacji Ministerstwa Spraw Zagranicznych ChRL złożył oświadczenie, stwierdzając, że Malley w czasie pobytu w Pekinie nie był przyjęty przez premiera Czou En-laja, ani żadnego innego przywódcę chińskiego. Rzekomy wywiad sfabrykowany jest od A do Z z jakichś ukrytych powodów — konkluduje Agencja Sinhua.



Macmillan do Wilsona i Browna: — I wtedy nagie wynurzył się wąż morski. (Daily Express)

LISTY do REDAKCJI

MILI KOLEDZY!

Dzisiaj, to znaczy dzień po otrzymaniu Waszego listu, a kwartał po jego wysłaniu: przeleżał się spokojnie w telewizji, gdzie nikomu nie przyszło do głowy wyłożyć go bodaj w gablotę u portiera — tkwił w jakiejś szufladzie i dopiero po trzech miesiącach komuś się na mój widok przypomniał!

O druku mego „sprostowania” wiedziałem z biura wycinków GLOB, ale nie był to bynajmniej tekst gniewny, raczej smutny. Przywykłem bowiem do uważania za synonim nicieści („Traktuje go jak psa”, „psu na bucie”, „pieskie życie”, „Iż jak pies” — cały czas obok przysłowia „wierny jak pies”). Antropomorfizować nie lubię żadnych zwierząt, bronię się przed antropomorfizacją nawet wobec mnóstwa ludzi; wystar-

czy mi, gdy obserwuję animalia i patrzę — widzę. Kiedy miałem cykl programów w TV, gdzie często-gęsto mówiłem o obyczajach fauny, mnóstwo ludzi pytało się „czy to prawda?”, na ogół bowiem nikt nie chce przyjąć się swym przyjaciółom czworonożnym i przekonać się naocznie o ich wartości...

...Bardzo mi miło, iż Redakcja zechciała zaproponować mi miejsce na swych łamach — obiecuję skorzystać możliwie szybko i z pełną satysfakcją, dziękując za pamięć! Zauważę jeno, iż mało znam pismo, którego egzemplarze z rzadka trafiają do mej budki „Ruchu”, co zresztą nie stoi na przeszkodzie w podjęciu dla Was pracy.

Co pozwoliwszy sobie rzec, kreślę się z uniżonymi uklanymi.

Szymon Kobylński

DRODZY PAŃSTWO

dzięki temu, że dajecie na pierwszej stronie informacje o treści numeru, stałem się Waszym czytelnikiem. Bo wylażam ciekawe materiały. Niedawno czytałem entuzjastyczny reportaż pani Kornatowskiej o krakowskiej „Piwnicy”, bardzo się nim ucieszyłem, bo jestem piwnicznym fanatykiem.

Jestem byłym aktorem Teatru 13 Rzędów, obecnie instruktorem robotniczego zespołu żywego słowa, i prócz tego współtwórcą nowego kabaretu, który we Wrocławiu oświetlamy. Chciałbym, by kabaret był nonkonformistyczny. Ciekaw jestem, jak wyjdzie. Gdzieś na początku chyba czerwca, premiera.

A teraz dzięki ostatniemu (17) Waszemu nume-

rowi, dowiedziałem się o panu Kasprowiczu. Wstyd powiedzieć, ale po co ukrywać: nic nie wiedziałem o Antonim Kasprowiczu. Ale to rozumiałem, tacy ludzie, prawdziwie skromni i ludzcy, niekoniecznie muszą chodzić w glorii, na jaką zasłużyli. Reklama, dzwoniący handlu, wiadomo. Wczoraj, po przeczytaniu Waszej „17-ki” i pocieciu na wycinki, wypożyczyłem „Wiersze zebrane” Kasprowicza, cały to młk przeczytałem w tramwaju (Wrocław — Leśnica i z powrotem, je dzie się w jedną stronę przeszło pół godziny...), najlepsze wiersze odnotowałem i tego samego wieczoru ułożyłem melodię do jednego z nich („Nareszcie wyszliśmy...”).

Andrzej Kulig
Wrocław

TROSKI WYDAWCÓW

Dalszy ciąg ze str. 1

sko-niemieckich. Wreszcie „Wydawnictwo Łódzkie” i „Wydawnictwo Lubelskie”.

„ODGŁOSY”: Jako tygodnik ukazujący się w mieście włóknarzy „Wydawnictwo Łódzkie” interesujemy się szczególnie...

HELENA ZATORSKA: Wydawnictwo to nie ma jeszcze zbyt wyraźnego określonego profilu. Sporo miejsca w jego działalności zajmuje literatura społeczno-polityczna, sporo też serwituty wobec miasta. Ale pomimo, że Łódź jest bardzo przecież poważnym ośrodkiem przemysłowym, wydawnictwo nie zdobyło się jeszcze na ważne, znaczące publikacje poświęcone socjologii regionu...

„ODGŁOSY”: Chcemy przypomnieć monografię „Włókniarze Łódzcy”...

HELENA ZATORSKA: Pamiętam o niej oczywiście, ale to przecież jedna tylko publikacja. Łódź ma poważne środowisko naukowe i literackie, ale równocześnie leży tak blisko Warszawy. Dlatego też pomimo obecności w mieście, tak interesujących twórców jak Antoni Kasprówiec, którego pamiętam jeszcze sprzed wojny, jak Piechal, Gomolicki, Jażdżyński czy Nienacki „Wydawnictwo Łódzkie” nieustannie gągrała i wazyła książki i prac odrzuconych w Warszawie. I nie zawsze wydawnictwo potrafi obronić się przed tą inwazją. Sporo tu winy miejscowych twórców, którzy z kolei najsłabsze swoje książki wolą publikować poza Łodzią.

„ODGŁOSY”: „Wydawnictwo Łódzkie” obchodzi niedawno jubileusz dziesięciolecia swego istnienia. Z perspektywy tych lat jak Pani może ocenić jego działalność?

HELENA ZATORSKA: Na ten temat dość ostentacyjnie autorytatywnie wypowiedział się w Łodzi podczas obchodów jubileuszowych wydawnictwa minister Rusinek. Mógł dodać już od siebie, że „Wydawnictwo Łódzkie” ma szczerą chęć, że szuka drogi do znalezienia swej specyfiki. Wydaje mi się, że aby poszukiwania te były skuteczne, powinno o wiele szerzej niż to robi do tej pory, sięgnąć do tradycji regionu. I niekoniecznie muszą to być tylko fortuny Scheiblerów. Nie jest chyba dobrze, jeśli Łódź pozostaje w pamięci tylko przez publikację martyrologiczną nawet takie jak fundamentalne dzieło o getcie łódzkim „Kronika miasta Łódzkiego” czy też znakomita pozycja „Szukajcie w popiołach”. Łódź ma kapitalne tradycje kształtowania się klasy robotniczej i jej walki, która znalazła wyraz w wysokiej ocenie Lenina, ma piękne tradycje walk w okresie międzywojennym i czasów wojny. Czy rzeczywiście powiedzieliśmy już na ten temat wszystko? Byłoby dobrze, gdyby wydawnictwo silnie zwróciło uwagę na młodych, silnie wykorzystano możliwości własnego środowiska.

„ODGŁOSY”: Powiedziała Pani: Silnie wykorzystajcie środowisko młodych. Wydaje nam się, że problem jest nawet nieco szerszy. Idzie o wykorzystanie pełni możliwości zarówno środowiska naukowego, jak i literackiego Łodzi. Obecność w mieście katedr literaturoznawstwa pozwoliłaby

przecież na publikowanie krytycznych wydań dzieł klasyków oraz na przekłady dzieł z innych języków. Armia tłumaczy jest w Łodzi dość liczna, a na Uniwersytecie Łódzkim są takie kierunki studiów, jak filologia rosyjska czy angielska, istnieje katedra języka niemieckiego i francuskiego...

HELENA ZATORSKA: Z Łodzią związany jest właściwie jeden tylko pisarz-klasycysta. Revmont. Pisarz znakomity, i aż dziwne mi się teraz wydało, gdy sięgnęłam do jego dzieł, że w moich latach szkolnych kryte-

redakcji. Przekłady to przede wszystkim sprawa wyboru, wymaga więc niestannego śledzenia twórczości za granicą. Nie przewidujemy powołania w „Wydawnictwie Łódzkim” działu przekładowego, co nie jest świadectwem jakiejś dyskryminacji. Redakcji przekładowych nie mają przecież nawet tak duże wydawnictwa jak krakowskie czy „Ślask”.

„ODGŁOSY”: W środowisku literackim Łodzi mówi się zupełnie wyraźnie o potrzebie powołania do życia w miejsco-

o wartości publikacji, które trafiają w ręce dzieci. Czy to całkowicie niemożliwa publikowanie książek dla dzieci w takim wydawnictwie jak Łódzkie? Nie ma żadnych podstaw do wyciągania takich wniosków. Jeśli wydawnictwo zechce wydać dobrą książkę dla dzieci, będziemy mu za to tylko wdzięczni. Niebezpieczna byłaby tylko cała lawina publikacji, gdyż w takiej masie zawsze potrafi sobie utworzyć drogę tandeta literacka i plastyczna.

„ODGŁOSY”: A jak zdaniem Pani należy tłumaczyć całkowitą nieobecność Łodzi w serii wydawniczej „Biblioteka Powszechna”?

HELENA ZATORSKA: Nie widzieliśmy po prostu pozycji, która mogłaby być wydana w nakładzie 30.000 egzemplarzy. To podstawowe kryterium. Ale łatwo będzie nas przekonać, że się mylimy. Nikt nie przeszkadza wydawnictwu wydać pozycji w dużym nakładzie, ale ryzyko tego musi samo wziąć na siebie.

„ODGŁOSY”: Pytaliśmy o tę sprawę, gdyż jak się wydaje uczestnictwo w „Bibliotece Powszechniej” jest jednym z symptomów znaczenia wydawnictwa. Może więc poruszymy problem, który się z tym wiąże. Jak w planach Ministerstwa wygląda założony rozwój czy też regres „Wydawnictwa Łódzkiego”?

HELENA ZATORSKA: Zyczliwie obserwujemy poczynania tego wydawnictwa, a plany produkcyjne zawsze uzależniamy od realnych możliwości planu tematycznego. I jeśli wydawnictwo potrafi uzasadnić potrzeby, zawsze może liczyć, mimo trudności, na zwiększenie przydziałów papieru i środków pieniężnych.

Docenialiśmy i doceniamy inspiratorską rolę wydawnictwa. Ale trzeba wyjść spoza schematów i zobaczyć białe plamy wymagające nowych inicjatyw, ocenić możliwości środowiska twórczego i naukowego oraz spenetrować potrzeby czytelnice. W rozsądnie prowadzonej polityce wydawniczej trzeba nieustannie kojarzyć interesy zarówno twórców jak i czytelników. Można więc wydać nieco na kredyt debiutantką pozycję młodego pisarza (bo talenty w szufladach raczej usychają), ale trzeba przy kolejnej książce stawiać dużo wyższe wymagania. Wydawnictwo liczy się poprzez swoje publikacje, poprzez ich wagę i jakość. My, jako Ministerstwo, na szczęście nie mamy prawa, mimo dekomercjalizacji, przesiedlać dobrych autorów do Łodzi, Poznania czy Szczecina, aby pracowali na rzecz tamtejszych środowisk. Środowiska muszą się same zdobyć na wiekszy jeszcze niż do tej pory wysiłek. Dotyczy to wszystkich bez wyjątku wydawnictw, warszawskich i pozawarszawskich. Osobiście widzę dla tych ostatnich dużą szansę rozwoju. Widzę ją, jeśli potrafia znaleźć równowagę pomiędzy problemami regionu i problemami dotyczącymi całego kraju, gdy właściwie wyważa pomiędzy nimi proporcje.

ROZMOWE PRZEPROWADZIŁ: KONRAD FREJDLICH

OD REDAKCJI: Wywiad Heleny Zatorskiej dla „Odgłosów” traktujemy jako wstęp do dyskusji o potrzebach i możliwościach zarówno „Wydawnictwa Łódzkiego”, jak też działającego w naszym mieście środowiska naukowego i środowisk twórczych. W jakim stopniu działająca w Łodzi oficyna wydawnicza zaspokaja ambicje kulturalne i twórcze drugiego co do wielkości miasta w Polsce, czy gwarantuje pełne wykorzystanie możliwości łódzkich twórców i naukowców, jakie dziedziny twórczości nie są objęte jej działalnością? Chcemy, aby wypowiedzieli się na temat tych ambicji i potrzeb naukowcy, pisarze, plastycy, działacze społeczni, chętnie też zapoznamy się z głosami odbiorców książek, którzy poruszą zagadnienia potrzeb czytelnicy. Dla rzeczowej dyskusji o niedostatkach wydawniczych Łodzi łamy „Odgłosów” są otwarte już od najbliższego numeru.



Kronika Francji. Ilustracja (około 1600 r.).

rium postępowości ucznia była niemal niechęć do Reymonta. Krytyczne wydanie dzieł wszystkich pisarzy przygotowuje aktualnie PIW. Ale sadzę, że jedna z pozycji tego pisarza „Wydawnictwo Łódzkie” mogłoby u siebie wydać. To by się dało chyba jeszcze teraz załatwić. Ale generalnie rzecz biorąc sprawa wydawania w Łodzi klasyków jest bardzo trudna. Kiedy w Łodzi powstawało wydawnictwo, klasycy byli już w tekach redakcyjnych innych wydawnictw. Na nowych klasyków zaś przyjdzie nam trochę poczekać.

Podobnie wygląda zagadnienie przekładów z tym, że decydujący jest nie ośrodek tłumaczy, a istnienie wyspecjalizowanej

wym wydawnictwie działu literatury dziecięcej, literatury dla najmłodszych. Podobne postulaty zgłaszają plastycy, którzy książki te mogłoby ilustrować. Jak Pani może się ustosunkować do tych głosów?

HELENA ZATORSKA: Powiem od razu, że w dziedzinie tej obawiamy się produkcji pozycji drugorzędnych. A w tak delikatnej sprawie jak kształtowanie gustów dzieci obowiązują nas szczególna ostrożność. „Nasza Księgarnia” na przykład pracuje przy ciągłej konsultacji z Ministerstwem Oświaty, z wybitnymi pedagogami. Ktoś musi czuwać i decydować w wydawnictwie

Nożycami przez PRASĘ

ARCHITEKTURA PRZYSZŁOŚCI

Majowy numer miesięcznika „Poezja” przynosi cały szereg reprodukcji, poświęconych architekturze przyszłości. Są to jej wizje rozwiązań zarówno szczegółowych jak i ogólnych. Znajdujemy również przykłady koncepcji zrealizowanych.

Wynikają te koncepcje, jak w komentarzu pisze prof. Jerzy Hryniewiecki, z twórczej wyobraźni, ale jednocześnie „są one podbudowane argumentacją racjonalną, ekonomiczną, techniczną czy też hipotetyczną demograficzną”.

Ich podstawowy i charakterystyczny wyróżnik: „Wszystkie te wizje przede wszystkim widzą ratunek naszego życia w rozwinięciu trzeciego wymiaru — wysokości”.

Co stanowił ich inspirację, niejako nachlenienie?

„Nasze systemy zabudowy coraz szerszych przestrzeni, wydzierając życie biologicznemu terenowi rezerwowemu wyżywienia, zdrowia fizycznego i psychicznego, zatruwając coraz większe zbiorniki nieodczynną do życia czystą wodą oraz niszcząc skład chemiczny powietrza, którym oddychamy, prowadzą do katastrofy, jeśli w dalszym ciągu będziemy kontynuować naszą powolną ewolucję, w rozpaczyliwy sposób starając się dostosować do tempa coraz szybszego, posnającego rozwoju demograficznego...”

A skromne wnioski praktyczne na dziś, jakie nasuwają się z przykładów tego, co dzieje się w śródmieściu Łodzi?

Te niskie, przysadziste „Domusy”, „Mogdy” i „Balatony” w środku dużego miasta były spóźnione, przykładowo rzecz biorąc,

również i dwadzieścia lat temu. W co najmniej beztrojski sposób gospodaruje się terenami w śródmieściu, które, po pierwsze, nie ma placów i przewiewu, a po drugie, gospodarka ta zapomina o rezerwowaniu terenów dla potrzeb, które mogą wynikać ot, za lat choćby dziesięć.

Wielce Szanowni Panowie Planisci i Architekci miasta Łodzi, bądźcie laskawii nad tym się zastanówić. Przydałoby się trochę odważniejszego widzenia przyszłości, więcej myślenia perspektywicznego.

JAK ZROBIĆ KARIERĘ LITERACKĄ?

Tu nie trzeba, aby być mądrym, Parkinsona. Robi się ją, uciekając się tradycyjnie do skandalu. Młody pisarz niemiecki Hochhuth nie jest zbyt wytrwałym dramaturgiem. Ale postawa Piusa XII w czasie wojny to sprawa, która

wielu może zainteresować. Może też wielu zainteresować Winston Churchill. Tym bardziej, jeśli mu się przypisze udział w katastrofie gibraltarskiej, której główną ofiarą był gen. Władysław Sikorski. W katastrofie istotnie jeszcze do końca nie wyjaśnionej. W nowej sztuce Hochhutha „Zolnierze” jest to podobno sprawa marginesowa. Chodzi w niej o bombardowanie miast niemieckich z rozkazu alianckich mężów stanu. Na marginesie zakazania „Zolnierzy” w Anglii, co u nas pewnie pisma skwapliwie podchwyciły. Ironizuje KTT w „Kulturze”.

Hochhuth jest moralista. Porusza wielkie problemy naszych czasów, jak zagłada Żydów czy wojna totalna. Ale ostrze jego oskarżenia skierowane jest zawsze w bardzo zdziwiający kierunek. To papież, nie Hitler, odpowiada za eksterminację Żydów. To Churchill, nie Hitler, odpowiada za wojnę totalną.

ROMAN SIEMIU KSIĘŻYCÓW

Wanda Falkowska w „Prawie i Życiu” szczegółowo opisuje sprawę poe-

ty Romana S., który beztalsko poblił swego przyjaciela, innego poe, Stanisława Cz. Znamy z prasy wyrok (pięć lat więzienia) w tej wyjątkowo smutnej sprawie, której ponurym bohaterem jest tym razem poeta liryczny, do dajmy: momentami wręcz czułościowy. Można całkowicie zgodzić się z jej reacją wyroku i przebiegu rozprawy. Wątpliwość jednak budzą wnioski, ich ton.

Pisze Wanda Falkowska: Ludzie pragną, aby twórcy nie tylko szlachetnie pisali, lecz, aby głoszone przez siebie idee wprowadzały w życie.

Postulat ogólnie rzecz biorąc słuszny, ale, gdy go ująć i nadać mu cechy rygorystyczne, przypomina myślenie z okresu, kiedy to pisarzom nadano klemę „inżynierów dusz ludzkich”. Był to okres dość fatalny dla literatury. Nie należy wnioskować z tej sprawy przypisywać cech szerokiego uogólnienia. Lepiej natomiast pamiętać — oczywiście, nie w wypadku Romana S. — że ludzie są ułomni, że mój ludzki jest czymś wyjątkowo rzadko spotykanym. Niech nas zresztą wreczy Pusekin w przekładzie Tuwima: Półki poety nie przywoła

Apollo ku ofierze świętej, W powszednich troskach i mozolach Trwa marnościąmi pochłonięty, Nie dźwięczy struny zamkniętymi dusza śni, I wśród nędznych synów ziemi Najnędzniej może spędza dni...

Przynajmniej tyle powin na rozumieć znana reportka sądowa. Tego rozumienia w długim artykule całkowicie nam zabrakło!

GDZIE JEST TYGRYS?

„Polityka” kontynuuje, zupełnie słusznie, druk „Małego Poetu Dziennikarzy Polskich”. Autora felietonu z tygrysem w tytule intrzyguje „przysłta-cząca przewaga liczebna Wielkich Publicystów Międzynarodowych nad Wielkimi Publicystami Gospodarczymi”. Wiktor Dłuski pisze z przymrużeniem oka:

„gdzie jest drugie społeczeństwo bardziej ciekawe przebiegu picu na Moluch niż ceny własnego obiadu? Czy aby tylko z taką antyżaciąnkowo-

wą publicznością nasi reporterzy krajowi nie wpad na w kompleks bezużyteczności?

I kończy: Jeżeli wreszcie, jak słychać niekiedy, rzucną dziennikarze krepuj najbardziej potęga tych, prze ciwko którym kieruje on swoje jadowite pióro, to chociażby w porównaniu z Ministerstwem Finansów — VII Flota była rzeczywiście papierowym tygrysem?

8 PROCENT!

Z tego samego numeru „Polityki” przystacamy kronikarską notatkę:

Łącznie mijska posiada co drugie statystyczne miasto polskie. Nie jest to wiele, zważywszy, że la ziemi w domach ma bowiem jez nie 4 mln mieszkańców miast. Jednakże i istniejąc, „apielska mijskie wykorzystywane są w minimalnym stopniu — za ledwie w 8 proc.

Ponieważ to wiosna, okres intensywnych wzruszeń, szczególnie interesują nas panie. Nie ma zapewne takiej statystyki, ale miłaby ona swoją w mowę: ile jest pan, która chętniej i więcej używają kosmetyków niż mydła?

JAN OLECHNO

Tej wiosny minęło 30 lat od śmierci Karola Szymanowskiego, jednego z najwybitniejszych kompozytorów w naszych dziejach. Jak w każdym ośrodku muzycznym kraju, także w Łodzi odbyły się koncerty poświęcone twórczości wielkiego kompozytora. Program złożony z dzieł kameralnych Szymanowskiego wykonano w sali Wyższej Szkoły Muzycznej, mnie zaś zaproszono do dyrygowania utworami symfonicznymi w Filharmonii Łódzkiej. Na koncercie było sporo młodzieży, która gorąco oklaskiwała młodzieńką solistkę Kają Danczowską, grającą z ogromnym przejęciem I Koncert Skrzypcowy. Po wykonaniu suity z baletu „Harnasie” publiczność domagała się burzliwie bisu, do czego byliśmy z orkiestrą na obu wieczorach nader skorzy, bo cieszyliśmy się z tego widomego sukcesu muzyki Szymanowskiego, za życia kompozytora tak często uważanej, nawet przez wytrawnych melomanów, za zbyt awangardową, niezrozumiałą.

Dziś, po 30 latach od owego smutnego dnia marcowego, w którym w szwajcarskiej samotni umierał Karol Szymanowski, wszedł on nie tylko do panteonu polskiej sztuki, jako jej świetny przedstawiciel, ale stanął w rzędzie klasyków polskich. Z perspektywy lat oceniamy jego twórczość zupełnie inaczej, znacznie mniej dyskusyjnie, z daleko pełniejszym zrozumieniem, jej istotnych wartości. Słuchamy przecież tej muzyki dość często, bynajmniej nie tylko z okazji imprez rocznicowych. Znany ją całą i niektóre dzieła weszły już do stałego repertuaru naszych koncertów, stały się reprezentacyjnymi pozycjami w programach wielu polskich występów zagranicznych.

Nie tylko czas zniwelował gorące niegdyś kontrowersje wokół tej śmiałej muzyki. Nasze ucho tak przywykło w twórczości dzisiejszej awangardy do propozycji dźwiękowych, niekiedy szokujących, że modernizm Szymanowskiego wydaje się klasycyzm umiarkowany, całkowicie zrozumiały, odsłaniający wspaniałą klarowność środków kompozytorskich, ich organiczną łączność z tradycją muzyki europejskiej, której Szymanowski żadną miarą nie sprzeniewierzył.

Dla nas, muzyków, wartość muzyki Szymanowskiego była zawsze bezsporna, a tylko przekonywanie o tym słuchaczy niosło niekiedy ryzyko pustych sal, bo ten rodzaj snobizmu, który dziś a priori gadzi się z każdą nawet absurdalną propozycją awangardy, wtedy nie był w modzie. W ramach raczej wąskiego życia muzycznego w Polsce międzywojennej wykonania Szymanowskiego były dość sporadyczne, a w środowisku łódzkim zapewne jeszcze mniej było sposobności do poznania dzieł symfonicznych kompozytora, nie mówiąc już o braku wszelkich warunków do wystawienia jego utworów scenicznych, na przykład baletu „Harnasie”.

Gdy na niedawnym koncercie łódzka młodzież z takim zachwytem chłoniła tę muzykę, gdy spontanicznie domagała się jej powtórzenia ogarnęło mnie wzruszenie, które odnowiło w mej pamięci przeżycia, związane właśnie z tą wspaniałą kompozycją Szymanowskiego.

wione w 1935 r. w Pradze, w 1936 w Paryżu, przez Lifara, w 1937 r. w Hamburgu, dopiero w 1938 r. odbyły swą polską prapremierę w Poznaniu.

— Jak doszło do tego, że odważył się Pan wystawić „Harnasie” w Poznaniu?

— Nie traktowałem tego bynajmniej jako aktu odwagi, choć przynajmniej, że zamierzenie było śmiałe, trudne muzycznie, choreograficznie i inscenizatorsko. Do podjęcia tej decyzji skłoniło mnie ostatecznie obojętność hamburskich „Harnasi” w 1937 r. Poznańska realizacja, uznana przez krytyków za udaną, przysporzyła wówczas sławy i Poznaniowi, jako ośrodkowi życia kulturalnego w kraju. Niestety, na premierę przybyła tylko siostra kompozytora, znana śpiewaczka Stanisława Korwin-Szymanowska, on sam już nie żył.

Tak się miło składa, że żyją do dziś niemal wszyscy wykonawcy głównych partii w pierwszych „Harnasiach” z Jerzym Kaplińskim ówczesnym I Harnasiem i Zofią Grabowską — Panną Młodą. Ocalało też sporo dokumentów, takich jak zdjęcia, recenzje i inne materiały prasowe.

Dyr. Latoszewski pokazuje mi album z poślizgniętymi już nieco fotografiami, starannie wyciętymi i naklejonymi recenzjami, sprawozdaniami. Powróć jeszcze do nich później.

— Pani dyrektorze, to były pierwsze, ale nie ostatnie Pańskie „Harnasie”?

— Tak, od tego czasu pozostałem wierny baletowi wierny kompozytorowi. Zaraz po wojnie jako dyrektor Filharmonii Krakowskiej wykonywałem całe „Harnasie” estradowo, na Wawelu. Wróciwszy do Opery Poznańskiej w 1947 roku wystawiłem „Harnasie” po raz drugi, ale już w innej inscenizacji. Całość dekoracji imitowała czarno-białe drzeworyty Skoczylasa. Jerzy Kapliński tym razem wystąpił nie tylko jako I Harnaś, ale również jako choreograf. W 1957 r. zostałem zaproszony do opracowania muzycznego „Harnasi” w Komische Oper w Berlinie wraz z Eugeniuszem Papińskim, który był choreografem berlińskiego przedstawienia. Współreżyserował zwłaszcza sceny chóralne sam Felsenstein. No i wreszcie za mojej dyrekcji w Operze Bałtyckiej wystawiliśmy „Harnasie”, kierownictwo muzyczne objął wówczas Bohdan Wodiczko, choreografią opracowała Janina Jarzynówna-Sobczak. No i myślę, że jestem winien „Harnasi” Łodzi. Zrealizujemy ich na pewno, jednak nie teraz jeszcze. Najpierw zobaczą łódzianie balety „Pan Twardowski” Różyckiego, następnie „Jeziro Łabędzie” Czajkowskiego.

— Niech nam Pan opowie jak poznał Pan osobiście Szymanowskiego.

— Ukończyłem wówczas studia muzyczne i zostałem dyrygentem w Operze Poznańskiej. Był rok 1929, w Poznaniu odbywała się Powszechna Wystawa Krajowa (zaczatek dzisiejszych Międzynarodowych Targów), która ściągała do Poznania gości z całego kraju. Codzienne przedstawienia operowe i koncerty m. in. prowadził gościnnie występujący dyrygent. Przyjechał i Grzegorz Fitelberg, który wykonał fragmenty „Harnasi”, razem z nim przybył do Poznania Szymanowski. Wówczas właśnie go poznałem osobiście, wówczas po raz pierwszy usłyszałem muzykę tego baletu.

Znalazłem się jednocześnie pod urokiem niezwykłej muzyki i urokiem wspaniałego człowieka. Czując się towarzysko, pełen osobistego czaru, życzliwy dla ludzi w ogóle, a szczególnie dla młodych muzyków. Dzięki tej życzliwości my, młodzi, początkujący, mogliśmy uczestniczyć w dyskusjach, słuchać, uczyć się od niego. Później moje kontakty z nim były raczej sporadyczne, ale dość częste. Spotykaliśmy się w Zakopanem, Warszawie, a już na krótko przed śmiercią przyszedł na mój koncert. Grał mi jego IV Symfonia. Wówczas widziałem go po raz ostatni.

— Czy zgadza się Pan z opinią, że „Harnasie” były usępstwem Szymanowskiego na rzecz popularności, próbą zdobycia publiczności dla swej muzyki?

— Taki pogląd wydaje mi się zbyt nim uproszczeniem. Szymanowski był istotnie bardzo samotny, bardzo cierpiał nad tym, że jego muzyka nie przynosi mu popularności, że nie jest powszechnie dość zrozumiała. Ale przecież „Harnasie” reprezentują w jego twórczości „okres podhalański” i są z tym okresem ściśle związane. Wydaje mi się, że Szymanowski wkroczył w ten pod wpływem muzyki Strawińskiego. Poznał ją właśnie poprzez balety („Ognisty Ptak”, „Pietruszka”) i może wówczas przekonał się, że folklor jest niesłychanie dynamicznym surowcem, który pozwala na sięgnięcie do pozornego prymitywizmu muzyki ludowej, ale zarazem jest odpowiednikiem tej surowości, którą niesie muzyka nowoczesna.

Długie przebywanie w środowisku podhalańskim, bezpośrednie obcowanie z folklorem góralskim przekształciły cały świat dźwiękowy jego wyobraźni. Był to ostatni etap jego życia, cały przepojony tą nutą góralską, mimo regionalnego autentyzmu przecież czyste polską. Niektórzy ten okres jego twórczości nazywają „okresem narodowym”. Należą tu „Harnasie”, II Koncert Skrzypcowy, IV Symfonia. Jedynie najpiękniejsze jego dzieła — Stabat Mater — jest jakby syntezą ducha pieśni ludowej i tradycji polskiej polifonii z obrazem dźwiękowym na wskroś nowoczesnym.

— Powiedział Pan na początku, że muzyce rozumie wielkość muzyki Szymanowskiego, czy w takim wypadku można mówić o samotności twórcy?

— Szymanowski uchwylił po zbyt długim okresie eklektyzmu, w Polsce wątek nowoczesnej wizji dźwiękowej, bezkompromisowej, szokującej tradycję wyobrażenia postromantycznej muzyki w Polsce. Jako twórca był zupełnie samotny, jedyny, ale otaczająca go, młodzież, muzyczna, a także jego rówieśnicy jak Paweł Kochański, Grzegorz Fitelberg czy Emil Młynarski, zaprzęgli się od początku do trudnej pracy propagowania jego muzyki. Cała plejada młodych kompozytorów polskich stała się po prostu egzekutorem jego duchowego testamentu. Zaden z nich, czy Jan Maklakiewicz, Piotr Perkowski, Michał Kondracki czy Stanisław Wiechowicz nie nawiązały w swej twórczości już do muzyki innej niż Szymanowskiego.

Dziś z perspektywy historii można powiedzieć, że gdyby nie Szymanowski, gdyby nie ten bezkompromisowy impuls twórczy, nie byłoby być może dostatecznej siły duchowej dla tak śmiałej awangardy, jaką dla reprezentacji współczesnego pokolenia kompozytorów polskich, odnoszące jedne z największych sukcesów na arenie światowej. Podziękowawszy dr Latoszewskie-

mu za rozmowę powróciłam do starożytności sprzed 29 lat, po zółtych recenzji i fotografii. Lektura prasy sprzed 30 lat jest pouczająca. Okazuje się, że nihil nowi sub sole, że 30 lat temu np. zastanawiano się czy opera jest potrzebna. Posłuchajcie Państwo:

„Harnasie”. Skomponowane w latach 1926—1930, grane były szereg razy we fragmentach orkiestrowych na estradach różnych miast Rzeczypospolitej. Po każdym wykonaniu krytyka domagała się od nowa wystawienia całości w formie baletowej na scenie Teatru Wielkiego w Warszawie, lecz każde z tych domagań się zapadało na idealną próżnię obojętności ludzi, od których wystawienie mogło być zależne. Nareszcie 11 maja 1935 roku „Harnasie” wystawiono! Myślicie pewnie, że w Warszawie? Nie — w Pradze. Znowu zaczęło się przemawianie ludzi dobrej woli do serc i rozumów, próby zawstydzenia zagranicznym przykładem i inne bicia głowami w mur. Aż nadszedł wielki dzień 27 kwietnia 1936 roku: „Harnasie” wystawiono. W Warszawie? — Ależ nie! W Paryżu. Minął jeszcze rok i 12 listopada 1937 roku ukazał się balet — w Hamburgu. W naszej stolicy wszystko szło po dawnemu: krytycy lamali ręce, a Opera produkowała operetki. Szło tak pewnie do końca świata, gdyby nie dziwnie uparte w swej kulturze miasto Poznań. Bez komitetów, mów, posiedzeń, zawieszono się cicho, a przedkro i oto w sobotę, dnia 9 bm. ujrzeliśmy pierwszą polską prapremierę „Harnasiów” zmontowaną przez jedną polską Operę z prawdziwego zdarzenia — poznańską (...).

Kiedy w Warszawie wybuchł skandal z Operą, zaczęto debatować czy w ogóle instytucja owa jest szerszym masom potrzebna do szczęścia. Praktyczną odpowiedź dał znowu Poznań. (...) Ludność Poznania o najwyższej w Polsce przeciętnej kulturze, dała swym traktowaniem Opery jako obowiązku kulturalnego ciębia, lecz jasną odpowiedź: opera jest ludziami niezbędną, jeśli jest dobrą (...). Stosunek poznańskich do swej Opery był dla nas nieledwie objawieniem. Kiedy po premierze (...) wypadło nam rozmawiać z panem wiceprezydentem Poznania, stwierdziliśmy z zdumieniem, że pan wiceprezydent jest tak dumny z „Harnasiów”, jakby nimi sam dyrygował, że zna każdy fragment, że przedstawienie to uważa za nie mniejsze, a nawet większy sukces miasta, jak dochody z gazowni czy rzeki. Zapala się, snuje projekty, zapowiada nieustanne poparcie. (...) A dyr. Latoszewski myślał jest już dalej. Bo na laurach nie ma zwycięzcy spożywać. Nazajutrz po „Harnasiach” dyryguje „Requiem” Mozarta.

Zdaje się, że skądś to znamy? Naturalnie. Jerzy Waldorff trzydziście lat temu gromi Operę warszawską, a chwali inne opery i miasta wraz z ich prezydentami, z tą samą pasją i werwą, z jaką czyni to dzisiaj. Można powiedzieć — wojna trzydziestoletnia. Kto ją wygrywa? Chyba jednak ten trzeci — muzyka. Czego dowodem nasz Teatr Wielki, dyr. Latoszewski przy pulpicie dyrygenckim i młodzież domagająca się bisów Szymanowskiego.

Oprac.: TERESA WOJCIECHOWSKA



Harnasiowe wspominki

Tak rozpoczął swe wspomnienia w rozmowie z „Odgłosami” DR ZYGMUNT LATOSZEWSKI, dyrektor artystyczny Opery Łódzkiej. Kult dla muzyki Szymanowskiego, jaki żywił od najwcześniejszych lat swej pracy artystycznej, sympatia dla Szymanowskiego, jako człowieka, którego znał osobiście sprawiły, że dr Latoszewski w latach międzywojennych zyskał opinię najodważniejszego muzyka w kraju. Odważył

się mianowicie wystawić „Harnasie” na scenie Teatru Wielkiego w Poznaniu, którego był wówczas dyrektorem. Jako pierwszy w Polsce. Nie zdobył popularności za życia wielki polski kompozytor, który wyprzedził swą epokę i którego twórczość dziś dopiero przeżywa renesans. Dla współczesnych był niezrozumiały, trudny. „Harnasie”, ukończone w roku 1930 drugo czekały na sceniczną realizację. Wysta-

NOC

przed

OSTRYM STARTEM

Dalszy ciąg ze str. 1

przejazdu kolarzy trwa przez mgnienie oka i zostawia wrażenie niedosytu.

2.

Niedosyt sportowych emocji, nadmiar szczęścia z drugiego miejsca Magjery i jeszcze jakiegoś czynnika uboczne — pchnęły tysiące ludzi na ulicę. Przy knajpie „Adria”, niedaleko dworca, bezładny tłum oczekiwał pod kontrola milicjantów na przyjazd kolarzy, którzy mieli tutaj spożyć kolację. Oczekiwanie przeciągało się w nieskończoność. Wyścig, drugi etap — dawno się skończył. Kolarzycy bonzowie, którzy przyjechali wygodnymi samochodami, którzy wrzucili ze swoich wpułkowych brzuszków pocieszne, kolorowe dressy i białe czapeczki z głów — dawno już byli po kolacji.

Przechadzali się teraz po mieście w wytwornych, suchych samiturach i o ich pokrewieństwie z wyścigiem świadczyły tylko emblematy przyczepione do kłap.

Miałem chwilami wrażenie, że na jednego zawodnika musi przypadać dziesięciu bonzów. Tylu ich kręciło się po ulicach. A jakie mieli miny — dumne i nieprzyjemne? Zupełnie, jakby to właśnie oni rozkrecał na trasie peleton i pierwszy wpadali na metę. Byli ważniejsi od kolarzy. Wtem nawet — dlaczego. Kolarzom przeznaczono na posiłki podrzędny lokal „Adria” — oni jedli w salonach hotelu „Merkury”, który nie ma sobie równych w Polsce. Kolarze mieli spać w drugorzędnych hotelach: „Bazar” i „Poznański” — oni, rzecz jasna, w „Merkurym”. Kolarzy przewożono z miejsca na miejsce ciasnymi autokarami, nierzadko w tłoku — oni, jeśli już jeździli, to po dwie osoby, w luksusowych samochodach, barwnie oklejonych nalepkami. Kolarze musieli wcześniej iść do łózka, aby zreprodukować siły na jutrzejszą harówkę — ich taki nakaz nie obowiązywał. Kolarze pili przed snem mleczko i wodę sodową — oni... no, jeszcze do tego wrócimy.

Wtem pod „Adria” tłum kontrolowany przez MO oczekiwał kolarzy. Przeciągały ulicą grupki chłopców z biszarkami w zębach, z chorągiewkami w rękach i gwizdek był taki, jak na tureckim weselu. Śmiertelnie poważni poznańscy milicjanci ostro wkraczali w akcję: — Dalej, dalej! — odganiali ludzi od gardziel wejścia. A że, jak większość poznaniaków, przejawiali pewną inklinację do wymyślniej, nosowej fonetyki, więc to brzmiało: Daly, daly!

W dwie godziny po przyjeździe pierwszego kolarza na metę — zjawił się pierwszy kolarz przed „Adria”, Magjera, który

na metę był jednym z pierwszych, w „Adriu” pojawił się jako jeden z ostatnich. A wszyscy razem przedstawiali raczej obraz niewesoły. Blade, wymęczone twarze, włosy mokre jeszcze od potu. Blady uśmiech zwycięzców etapu, nie był wcale uśmiechem heroicznym. Toteż tłum pokrzyczał trochę, powiatawał i powędrował do domu.

3.

W „Merkurym” tymczasem bryluje bonzo wie. Wszędzie ich pełno. W kawiarni na pierwszym piętrze, w obu małych barkach, w obu restauracjach i salonie recepcyjnym. W pół godziny po zakończeniu etapu — do „Merkurego” zabłąkał się jakiś zakurzony kolarz. Zgubił się gdzieś na stadionie albo w mieście, może rozminął się ze swoim urzędowym obiektem — dość, że przychoił się do „Merkurego” prowadząc rower u boku.

Byłem pewien, że bonzowie rusza mu z pomocą. Ale — gdzie tam. Jeden bonza drogę mu nogą zastawił — dając na migi do zrozumienia, że rowerowi w śliskiej marmurze wprowadzać nie wolno. Drugi bonza zamachał dwuznacznie rękami — wskazując zakurzonemu anonimowi z szosy, gdzie, w którym mniej więcej kierunku powinien się udać. Biedaczyna skinał pokornie głową, że niby rozumie, i powiół się z powrotem na ulicę, w słońce, w tłum, który schodził mu z drogi jak przed świętą krową, podglądał mu numery z boków, pokpiwał z niego dobrotliwie, z sympatią jaka obdarza się zwykle wszystkie sportowe niedołęgi z góry skazane na przegrana. Bę wyścig, co tu dużo gadać, dzielił się na gwiazdy i niedołęgi. Bonza, gdyby się zabłąkał taki Smollik, porwałby kolarza na plecy i zanosił na punkt żywienia, stękając wprawdzie z

wysilkku, ale za to z jaką niebywałą satysfakcją.

W ogóle bonzowie mają do powiedzenia znacznie więcej, niż wam się może zdawać. No bo weźmy chociażby takiego Khasa Gundena, reprezentanta Mongolii. Przyjechał on z odległej ojczyzny, aby po raz pierwszy wziąć udział w wyścigu. Już po opisywanych wyżej wypadkach poznańskich, zawodnik ten zaeubił gdzieś po drodze kask ochronny, bez którego nie wolno startować. Na starcie do kolejnego etapu został zdyskwalifikowany. Nie pomógł izy samego Khasa. Sędzia polski, niejaki pan Marian Żużalek, przytrzymał Monę z siedelko, dopóki cały wyścig nie ruszył z kopyta, a potem zostawił zrozpaczonego, młodego chłopca na szosie, dumny ze swoich biurokratycznych zabiegów. Mam poważne wątpliwości, czy sędzia polski, niejaki pan Żużalek Marian, podobnie by zrobił, gdyby chodziło o Magjere, albo o Pietrowa, albo choćby o takiego Smollika. Pan Żużalek, gdyby chodziło o Smollika, sam by podskoczył szukać kasku, i na pewno by znalazł, a jeśli by nie znalazł, to ezechosłowacki bohater szosy, aby zadociecnieć przepisom, założyłby na głowę jakiś kask symboliczny, furażerkę z gazety, albo czepek z rowerowej dółki. Bo Smollik jechać musi. Smollika znaja miliony. Kochają miliony. Smollik wyznacza tempo wyścigu, jest zawsze na przedzie. A Mongol cięgnie się z tyłu, w potwornym wysiłku woli i mięśni, jest jeszcze za słaby, aby konkurować ze Smolikiem. I z bonzami.

4.

Ostro kręci się młyn w hotelu „Merkury”. Spałem tu tylko jedną noc. Ale opa-

Zamknęliśmy pierwsze tysiąclecie polskiej państwowości i kilkuletni okres obchodów rocznicowych symbolizujących nasze wielkie tradycje i ciągłość bytu narodowego. Pomijając polityczne i społeczne znaczenie tych obchodów (np. hasło tysiąca szkół), nie mówiąc o patriotycznej i emocjonalnej nucie ogólnokrajowych manifestacji, myślę o tych elementach, które sprzyjały kształtowaniu się historycznej świadomości ludzi i formowały ich stosunek do tradycji narodowych.

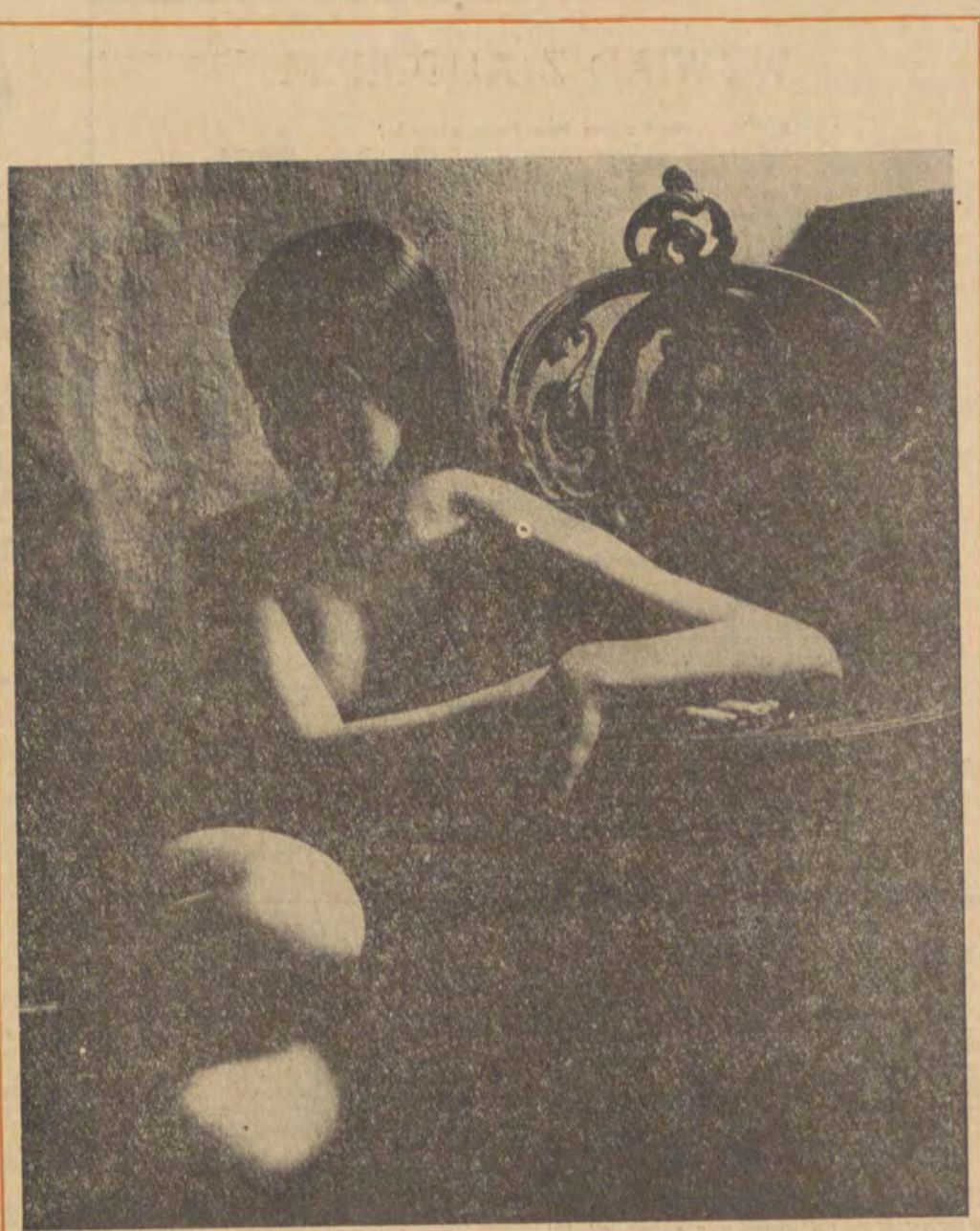
Spółczesność polskie znzione nadmiarem uroczystości, nie zdołało zapewne uświadomić sobie w pełni nieprzemijających wartości i osiągnięć polskiej nauki historycznej, które w tych latach wzboga-

Przeznaczone dla szerszego odbiorcy formy popularyzacji wiedzy poprzez słowo drukowane i środki audiowizualne chyba tylko w bardzo wrywkowy sposób trafiły do świadomości społecznej i w niewielkim stopniu wpłynęły na wzrost historycznych zainteresowań mieszkańców naszego kraju. Sławiamy sobie pytanie, czy nauka historyczna potrafiła wpaść społeczeństwu szacunek do jego własnych tradycji, wzbudzić potrzebę ich poznania i dokonania wyboru w nagromadzonych złożach faktów, wydarzeń, świadectw ludzkich trudów i omyłek, czy potrafiła w dostatecznym stopniu wyłuskać z tych naważstw żywy nurt dokonywających się procesów dziejowych i dramatu kolejnych pokoleń. Każdemu z nas

zreszta czytelnika czałem swego świetnego dióra, łącząc zalety narracji z syntetyzującą refleksją i objawiającą rzadką u historyków wrażliwość na zjawiska współczesnego humanizmu. Nie sposób omówić kolejnych szkiców tego zbioru. Otwiera go rozdział „Historia i Społeczność”, zaopatrzony uzupełniającym tytułem „Problemy porozumienia i informacji”. Dopomina się w nim autor o właściwe dla historii miejsce w kształtowaniu światopoglądu współczesnego człowieka. Ciekawie są m. in. propozycje autora odnośnie upowszechniania wiedzy historycznej i roli historyka jako „konsultanta” literatów, publicystów, polityków, dyplomatów i in. Dalej autor głosi konieczność dialogu i kooperacji z innymi pokrewnymi naukami społecznymi. Snuje też niemal filozoficzne refleksje nad pojęciem „współczesność”, która w kategoriach ruchu i czasu wcale się nie mieści. Znika więc antyteza między historią a współczesnością. Te same myśli odnajdujemy w zaopieczonym od Norwida tytule ostatniego szkicu: „Przeszłość jest to dziś, tylko cokolwiek dalej!”. Pozostajemy nadal w kręgu milenijnych rozważań, podsumowywanych, za rysu dziełowej syntezy. Trzeba z uznaniem podkreślić, że autorowi udało się wyzwolić spod presji pesymistycznej oceny diwności z kart Historii Polski wydanej przez PAN. Autor, historyk prawa, myśli społeczno-politycznej i nauki zwraca uwagę na twórczy wysiłek ludzki w przekształcaniu rzeczywistości i w przemianach dziejowych. To również warto podkreślić, wobec także często anonimowo i deterministycznie pojmowanego modelu mechanizmu dziełowego. Spotykamy się tu przy tym z szacunkiem dla odmiennych poglądów i ludzi je głoszących, a polemiki prowadzone są kurtuazyjnie, na oświeceniowej racjonalności. Natomiast pewnym mankamentem wynikającym ze scalania w jeden zbiór artykułów pisanych w różnym czasie są zbędne powtórzenia i dłużyzny zakłócające harmonijność na ogół konstrukcje.

Leśnodorski nie traktuje przeszłości jako „karty zamkniętej, żyje ona, ponieważ w nas. Stąd piękny tytuł jednego ze szkiców „Lelewel nam współczesny”, albo „Nauka i problemy wzrostu” rozpatrzone na przykładzie Szkoły Głównej. W innym zaś rozdziale autor podejmuje watek niewygasłej dyskusji o przyczynach upadku Polski w XVIII w. Pobudza on do dalszej polemiki, ale nie czas tu i miejsce na nią.

Walory porównawcze prezentuje studium: „Uniwersytety w epoce Oświecenia”. Wielka reforma Kołłątajowska, wyrosła z inspiracji myśli oświeceniowej i różnych wzorów podejmowanej w Europie reorganizacji szkolnictwa wyższego, zarzuca się jednak jako dzieło pi-



Akt. (Gunar Binde. ZSRR).

ZOFIA LIBISZOWSKA

Historia i współczesność

ciły naszą kulturę narodową. Rejestr ich musiałby być niezwykle długi. Zacząć by wypadało od wielkiej, nie spotykanej w naszej nauce próby wydarzenia „ziemi popiołom” gnębiącej naukę zagadki: Jak powstawała Polska.

A historia tzw. dziełowej pisanej? Ta nie kryje już tytułu zaskakujących tajemnic, chociaż wciąż błądzimy wśród rosnącej wiedzy o faktach, narastających w miarę bieżu dziełowej najnowszych, szukamy ich powiązań, zależności, sprzężeń. Próbowujemy odpowiedzieć na nękające pytania, wysuwane w toku niewygasłych od pokoleń sporów i dyskusji.

Nauka historyczna w ostatnim dwudziestolecu zyskała olbrzymie — jak nigdy przedtem podstawiły materiałne i oprawy organizacyjno-administracyjne. Niepokoję wprawdzie nieco metody zarządzania i planowania przeniesione tu z modelu zakładu produkcyjnego, ale z drugiej strony mecenat państwowy i społeczny umożliwił podjęcie olbrzymich zespołowych prac i pomnikowych wydawnictw, których dorobek się nie ogłą poprzednie pokolenia.

Wszystkie ośrodki naukowe podjęły też badania nad historią regionalną, która tak istotnie wzbogaciła treść lokalnych uroczystości tysiąclecia.

pytanie to nasuwa się, każdy na swój sposób je rozwiązując i próbując określić rolę historyka we współczesnym świecie.

Ale oto pojawiła się książka, która będąc wynikiem przemyśleń jednego uczonego jest w dużym stopniu odbiciem niepokoju twórczych historyków współczesnego pokolenia. Myślę o pokoleniu żyjącym u styku dwu epok, ludzi wykształconych w okresie przed drugą wojną, którzy zarówno w latach okupacji dokonywali świadomego wyboru jak i w roku 1945 z przekonaniem włączyli się do odbudowy kraju i nauki. Autorem książki jest Bogusław Leśnodorski, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, redaktor naczelny Kwartalnika Historycznego, a tytuł jej znamienity, „Historia i Współczesność”. Książka nie jest jednolitą tematycznie, składa się na nią 9 studiów. Skierowana jest nie tylko do profesjonalistów. Tym bardziej, że historycy z częścią publikowanych tu rozpraw mieli już możliwość zapoznać się poprzednio.

Odbiorcami tej naprawdę ciekawej i atrakcyjnej pomysłowej pozycji winni być ludzie wykształceni, intelektualni różnych odleci zawodowych: iak, literaci, socjologowie; myśliciele, szukający wapiący i łaknacy. Bogusław Leśnodorski podbija

nierskie w skałi nadanej mu przez jej inicjatora.

Filmowa wersja „Popiołów” z jej antyromantyczną i obsesyjnie antywojenną wymową, zmusiła historyków do polemiki i dyskusji. Wokół sprawy „Popiołów”, wyrósł szkic pt. „U progu nowego stulecia. Księstwo Warszawskie” podejmuję w nim Leśnodorski rozrachunek z legendą napoleońska, podemulując reasumację znaczenia Księstwa Warszawskiego w naszych dziełach. Wszak, który film Wajdy nie tyle obejrzel, co przeżył, gorąco zalecam to świetna rozprawka. I znow w następnym rozdziale współczesność wiąże z

przeszłością miłość do miasta Warszawy. Z okazji jej 700 narodzin, spojrzal na nią autor z bliska i z daleka, okiem mieszkańca i okiem historyka. Fascynuje go proces powstawania miasta, ośrodka zarządzania krajem, centrum jego życia gospodarczego a przede wszystkim kolebki inteligencji miejskiej i kultury narodowej, dalek za miastem bohatera i męczennika.

Trafiamy wreszcie na autobiograficzny akcent. Bogusław Leśnodorski, więzien obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen i Dachau a później wykladowca tajnego uniwersytetu w Krakowie, podzielił się z czytelnikami wspomnieniami tych chwil.

gdy historia, jej uprawianie i dawkowanie było ozywym pokarmem umoczonego narodowego ducha. Historycy nauuczaliac za drutami lub w podziemiu odczuwali bardziej niż kiedykolwiek wagę historii i swa odpowiedzialna wobec społeczeństwa role.

„Vivimus ut doceamus” — racia naszego istnienia jest uczyć, kształcić, oświecać.

*) Bogusław Leśnodorski, „Historia i Współczesność”, Warszawa 1967, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, s. 420.

trzyłem się portierom, windziarzom, tym z recepcji, z szatni, z restauracji, więc mołem swobodnie hasać po pietrach i podglądać bonzów obyczaje.

Dochodzi godzina dwudziesta pierwsza. W barach i restauracjach — tłok. Buzie różowienia z minuty na minucie. Oblok gęsty wyborowych trunków. W kawiarni na pietkerku, gdzie siedzą młode dziewczyny, bonzowie grają swój mały drugi etap. W Bydgoszczy będzie trzeci. W Koszalinie czwarty. Polak, bo tamci nie znają języka, rusza naprzód ostrym szurtem. Pianista gra „Oczarowanie”. Wdzicza się słodko dziewczyny. Ruszają wszyscy do wyjścia. Tu dopiero ceremonia poznania.

— Dzień dobry — mówi z uśmiechem tegi zagranicznik.

Śmieją się one. I scenaria się zmienia. Tasuje. Przeszawia. Jakiś cudzoziemiec szczyplie dziwkuje w posładek. Ona z początku oburzona, a fel — krzyczy biskliwie. Ale bonza zna się na rzeczy. Wlacza jej długą, wytworną, zagraniczną fraze.

Reszta wysięgu, to pomniejsze plotki, krzątają się teraz w dwóch położonych naprzeciw siebie hotelach przy Armii Czerwonej: „Wielkopolskim” i „Lechu”. Kolarze są w „Bazarze” i w „Poznańskim” przy placu Wolności. Tu trochę kibiców.

— Ke-ree! Ke-gel!
— Ma-giee-ra! Ma-giee-ra!
— Po-lee-wiak!

Zawodnikom to potrzebne, może taki ciepły, nieklamany odruch tłumy znaczy więcej, niż medale i zaszczyty. Może kręci się setki kilometrów, w poście i znoju — właśnie po to?

Przechodze przez kordon milicjantów, do hallu, z bezczelnością faceta, co ma w kieszeni prasową legitymację. Nikt mnie

nie zaczepia. Mieszam się z nimi, z kolarzami. Na sporcie spęcznie nie znam. Te twarze, zmęczone, napięte, dla kibiców znaczą dużo. Noszą jakieś sławne nazwiska. Dla mnie są twarzami zwykłych, ciężko pracujących ludzi. Nie znam ich, ale darzę sympatią. Sprzymierzam się z nimi. Chętnym im wszystkim powiedzieć, jedno prawdziwe, szczerze słowo. Nie znam tego słowa. Ani po polsku, ani w innych dwudziestu językach.

Zbliża się akurat Gawliczek. Więc dopadam go z boku. Mówię, że jestem z prasy. Patrzy na mnie z niezmiernym zdziwieniem. Jakbym spadł z Księżycy. I wcale mu się nie dziwie. Nie mam w klapie znaczka wysięgu. Więc z jakiej jestem prasy? Czyżbym nie wiedział, że prasa, polska prasa wysięgu to jeden pan obsługujący wszystkie bisma, dwóch panów obsługujących wszystkie transmisje telewizyjne, i dwóch z Radia? Czyżbym nie wiedział, że oni między sobą dzielą cały informacyjny bank? Że oni mają monopol? Więc patrzy na mnie zdziwiony, zakłopotany, ale grzeczny, bez śladu poży, bez dumy, choć parę mieslecy temu wyprał wysięg dookoła Anglii.

— Pan na pewno zmęczony?
— Trocho.
— Ale wszystko będzie dobrze?
— Chyba tak. Postaramy się nie sprawić zawodu.
— To dziękuję.
— Proszę.

Odszedł. Chciałem go dogonić. Powiedzieć coś miłego. Żałuję, że tak nie zrobiłem. W parę dni później Gawliczek został wycofany z wysięgu. Do Szczecina jechał ze złamaną ręką. W dwu miesiącach pekniecie kostki nadgarstka. Prosto z mety karetka do szpitala.

— Byłem w coraz lepszej formie — żarlił się w wywiadzie prasowym. — Nawet w próbie indywidualnej iechało mi się lepiej, niż mogłem przypuszczać. Pechowy wypadek pozbawił mnie wielkiej szansy. Żal mi kolegów, że będą jechali dalej w niekompletnym składzie...

Trener Lasak skwitował wypadek bardziej rzeczowo:

— ...Chociaż zajmujemy szósta lokate i jedziemy w piątkę, będziemy walczyć o awans...

5.

Szły wieczorne godziny i tłum pod „Bazarem” i „Poznańskim” rozpraszał się z wolną w mroku. Światła w pokojach zawodników gasły jedno po drugim i flagi tylko trzępotały na wietrze. Milicjanci pilnowali hallu, ziewali szeroko.

Siadłem na ławce przy placu Wolności. Widać stad oba hotele. W „Bazarze” w ostatnim zapalonym oknie pod sztandarem Kuby — jakiś kolarz wdruje nerwowo po pokoju. Widzę jego przygarbione plecy. To znów, kiedy podchodzi do okna, rozehelstana na piersiach biżame. Robi narę przysiadów. Krótki, dziwaczny bieg w miejscu, z nogi na nogę. Potem głośno światła i on chyba kładzie się do snu. Może rozegra teraz swój największy wysięg. Może teraz zwycięży pocąc się i męcząc w widziadłach noey.

W „Poznańskim” pala się trzy okna na pierwszym pietrze. W dwóch pracują mechanicy. W trzecim ciemny, który zawodnik robi sobie masaż, trze, rozgiera, iakieś obolałe miejsce. Kiedy o północy rasi światła — mechanicy wciąż pracują. Widzę ich spo-

cone, zmęczone twarze, zakasane rękawy. Oliwka, smarujka, pucujka rowery, które na obrotowych stojakach wirują iak skrzydła wiatraków.

Jeszcze raz przedchodzę obok hallu „Bazaru” i przed wejściem do „Poznańskiego”. Milicjanci drzemia w głębokich, miękkich fotelach. Porter patrzy sennie z recepcji w iakiś punkt na ścianie. Wszędzie wibruje cisza.

6.

Pierwsza — druga godzina. „Merkury” tonie w światłach otoczony sznurkiem polyskliwych wozów. Piękne to wozy i szybkie. Przed jedną z tych maszyn, czerwona, wysmukła, na której ogromnymi literami pisze FOOTBALL FRANCE — stoi dwóch panów z emblematami wysięgu. Rozmawiają na migi i przy pomocy różnych dziwnych słów. Nagle dają sobie pijaną głośną, internacjonalistyczną buźkę. Inni z emblematami kraża obficie do hotelu. Odbijają się od ścian, do restauracji. Wrzask, śmiech, popijawa, dziewczyny. Ciągna wszyscy do światła, jak ćmy.

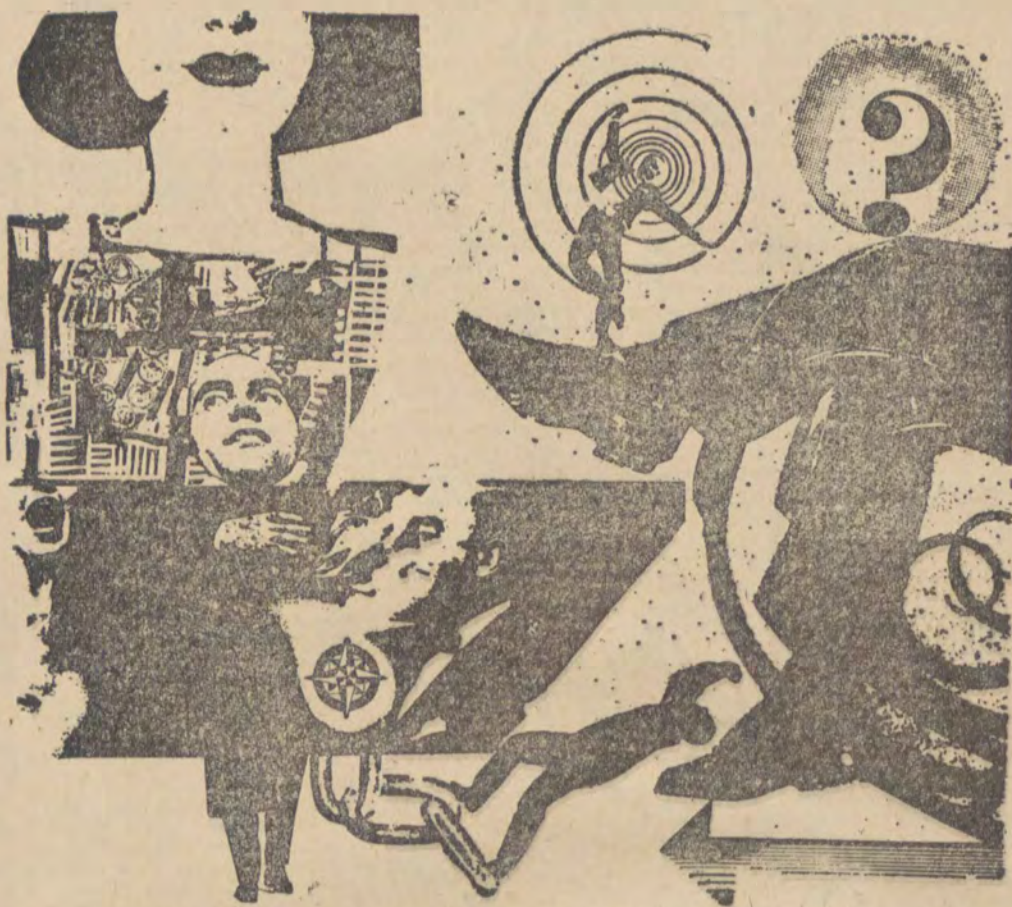
Że wszystko dla ludzi?... Że im wolno? Żeby nie był takim moralistą? Jasne, że wolno. Chociaż wysięg — to sport, sportowe reguły obowiązują winny wszystkich. Bonza przemierza trasę dla kolarza — nie kolarz dla bonzy. Bonza powinien kochać, pielegnować, pocieszać kolarza, ustępować mu miejsca, nosić na rękach. Bonza powinien być sluga.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

WYWIAD Z AUTOREM

ODGŁOSY: — Nad czym Pan teraz pracuje?
Z. NIENACKI: — Ukończyłem drugi tom epopei „Dębowe liście”. Nie chce o tej książce mówić i drukować jej w fragmentach, aby, kiedy ukaże się w księgarniach, była dla czytelnika pełnym zaskoczeniem.
 Dla oddechu w pracy nad „Dębowymi liśćmi” — napisałem sztukę teatralną: „Miejsce dla żywych”. Ale sztuki też nie zamierzam na razie wystawiać. Uważam, że dla moich sztuk nie nadszedł jeszcze odpowiedni czas.
ODGŁOSY: — Co Pan sądzi o teatrze współczesnym? O nowych łódzkich teatrach?
Z. NIENACKI: — Zamiast wyraźnej odpowiedzi, posługuję się przykładem: przed pięciu laty — o ile pan pamięta — walczyłem o teatr awangardowy, o taka, choćby, „Kartotekę” Różewicza. Wszyscy wówczas na mnie pomstowali. No i co...
ODGŁOSY: — Teraz wystawiono „Kartotekę”.
Z. NIENACKI: — Tak. Po pięciu latach, kiedy jej treści zwierzały, straciły dawną aktualność — albowiem czas i trafunek musi być we wszystkim — jak mówią mądre powiedzieli.
ODGŁOSY: — A jaka jest treść Pańskiej sztuki?
Z. NIENACKI: — Jako autor — gustuję w sztukach z porażką makabreski. Lubie żart, ale trudny. On czasami bardziej potrafi wstrząsnąć niż nabuszony dramat. Śmiać się można ze wszystkiego. „Miejsce dla żywych”, poświęcone jest historii. Ścisłej: stosunkowi żywych do historii. My, Polacy, lubimy mówić o historii, powoływać się na nią. Ale nie umiemy historycznie myśleć. Jesteśmy dumni z historii, ale nie z tej, z której naprawdę powinniśmy być dumni.
ODGŁOSY: — Gdyby któryś z teatrów chciał wystawić Pańską sztukę — zgodziłby się Pan?
Z. NIENACKI: — Nie. Odmówiłbym. Jak powiadam: czas mój jeszcze nie nadszedł. Na razie róbmy sobie teatr w gronie przyjaciół.

A. M.



ANTROPOLOG: Ciągłe mówicie o historii, powołujecie się na nią, na tę historię, co leży zagrzebana w ziemi, i ja postanowiłem przybliżyć wam tę historię, że tak powiem, unocznąć ją wam.
PRZEWODNICZĄCY: Unocznąć. Rozumiem.
ANTROPOLOG: Przybliżyć.
PRZEWODNICZĄCY: Przybliżyć. Rozumiem.

(W tym czasie z wykopu wychodzi Studentka ubrana w spodnie sycylijski i obcisły sweter z dużym dekoltem. Trzyma w ręku czaszkę i piszczałkę. Zwraca się do Antropologa.)

STUDENTKA: Ta czaszka nie jest od tej nogi. Czerep ma numer trzynastą, a piszczałka dwanaście.

ANTROPOLOG: (odchodząc od Przewodniczącego). To czaszka Piaseckiego?

STUDENTKA: Ale ta noża nie należy do Piaseczaka. To piszczałka Belfra.

ANTROPOLOG: Znowu ci się coś pomieszało. Jeszcze raz zajrzyj do wykopu. To zresztą ja już sam zrobię, a ty zawiąż ich wszystkich w paczkę!

(Znika w wykopie. Studentka przykleka i zaczyna kości zawiązywać w gazetę. W tym czasie Przewodniczący z dumą przygląda się nowemu domowi. Nadchodzi nauczyciel Wasiak, stary belfer o krzywych nogach.)

PRZEWODNICZĄCY: Dzień dobry, panie nauczycielu.

WASIAK: Dzień dobry, panie przewodniczący.

PRZEWODNICZĄCY: Przyszedł pan zerknąć na swoje nowe mieszkanie, co? No, już niedługo, już niedługo, chwilkę cierpliwości.

WASIAK: Łatwo panu tak mówić. A mnie w tej mojej kłitce woda ciurkiem leci na głowę. Nie mogę udzielać korepetycji. A co najgorsze, wydaje mi się, że umrze, zanim napiszę te swoje monografie historyczne o naszym miasteczku.

PRZEWODNICZĄCY: Mieszkanie będzie pan miał już za dwa tygodnie.

WASIAK: Codziennie po lekcjach nakładam drogi i zamiast przez rynek, tędy tutaj przechodzę, żeby choć zerknąć na swoje nowe mieszkanie.

PRZEWODNICZĄCY: A jak się pan tutaj urządził? To będą przecież dwa pokoje z kuchnią, z łazienką, z wychodkiem na miejsce.

WASIAK: Jeden pokój będzie tylko dla mnie, gabinet do pracy. Poświęcę się monografii historycznej. Gród nasz tysiącletni, tu żył sławny Zbylut z Paningrodu i burmistrz Maurycy.

PRZEWODNICZĄCY: Święta Dorota.
 (Schowany w wykopie Antropolog wola do Studentki.)

ANTROPOLOG: No, co, jesteś gotowa?

STUDENTKA: Gotowa.

ANTROPOLOG: No, to siup, trzymaj.
 (Z wykopu wylatuje czaszka ludzka, potem druga.)

WASIAK: (kontynuując, z niepokojem zerkając w stronę wykopu): W swej monografii przywołuję ludziom dawną świetność miasteczka. Chciałbym, aby nasza młodzież nauczyła się kochać ziemię, po której stawa. To historyczna ziemia. Pełna kości naszych przodków.

ANTROPOLOG: (ukryty w wykopie): Jesteś gotowa? No to trzymaj. Siup, łapaj.
 (Z wykopu znowu wylatuje czaszka ludzka, zatacza łuk i wpada w ręce Studentki.)

STUDENTKA: Mówiłam ci, że to nie jest czaszka Piaseckiego.

ANTROPOLOG: (ukryty w wykopie): Nie gadał głupstw. To na pewno Piaseczaka. Zrób mu na głowie numerkę.

STUDENTKA: To rzeczywiście Piaseczaka. Oni zawsze byli przystojniakami.

ANTROPOLOG: Zapakuj ich w gazetę, ja dokończę rysowania planów.

(Przewodniczący i Wasiak ostrożnie zbliżają się do Studentki.)

PRZEWODNICZĄCY: (z dumą do Wasiaka): Przybliżają nam historię. Unoczniają. Bardzo pozytywne.

WASIAK: (do Studentki): Przepraszam panią.

STUDENTKA: Proszę bardzo. Nie gniewam się.

WASIAK: Czy wolno o coś zapytać?

STUDENTKA: Pytaj pan, skoro nie może być inaczej.

WASIAK: Przepraszam panią, to są kości... ludzkie?

STUDENTKA: Naturalnie.

ZBIGNIEW NIENACKI

Miejsce dla żywych

WASIAK: Szczałki ludzi?

STUDENTKA: No tak. Materiał kostny. Ludzki.

PRZEWODNICZĄCY: To są szczałki, czyli hm, tego... materiał kostny jakiegoś Piaseckiego?

STUDENTKA: Diabli wiedzą jak się nazywał. W dolnej warstwie leżał, w piasku proszę pana. Wszystkich, co leża w piasku nazywamy Piaseckimi. Tak dla draki, pan rozumie?

PRZEWODNICZĄCY: Nie bardzo...

WASIAK: Dla draki?...

STUDENTKA: O, na przykład tego tutaj, co go już zawiązałam w gazetę. (Piszczałką nogi wskazuje zawiniątko.) Tędy nazwalimy przewodniczącym, albo burmistrzem, jak pan woli.

PRZEWODNICZĄCY: Przewodniczącym?...

STUDENTKA: Miał na piersiach łańcuch z insygniami burmistrzowskiej władzy. To był burmistrz tego miasteczka z piętnastego wieku.

PRZEWODNICZĄCY: Boże drogi!

WASIAK: Jezus, Maria, może to słyszy burmistrz Maurycy? Czytałem w starych dokumentach, że pochowano go z insygniami władzy miejskiej. To był wielki człowiek, proszę państwa.

PRZEWODNICZĄCY: I to ma być przewodniczący? W takiej paczusce? Owiązany sznurkiem?

STUDENTKA: A z pana to więcej zostanie?

PRZEWODNICZĄCY: hm...

STUDENTKA: Powinien pan się cieszyć, jeśli i pana kiedyś w taką paczuszkę zawina i owiąza sznurkiem.

PRZEWODNICZĄCY: Mnie? (jest oburzony).

STUDENTKA: Bo z niejednego to nawet tyle nie pozostało, żeby w gazetę zawiązać. Trochę prochu, który w pocztową kopertę się zmieści.

WASIAK: W pocztową kopertę?

STUDENTKA: A pewnie. Bo wszystko zależy od tego, jaki człowiek był za życia i w jakiej go się glebie położy. Jeśli był gruby to prędzej się rozkłada.

PRZEWODNICZĄCY: (dotyka swego brzucha): Jeśli gruby, to prędzej?

STUDENTKA: Chyba, że pana pochowają w ciepła, sucha porę roku, w piasku, który przepuszcza wodę. Albo w suchej krypcie grobowca.

PRZEWODNICZĄCY: W piasku?

STUDENTKA: Wiedzy może być z pana dobrze zachowany Piaseczka. Chociaż... (machając ręką).

PRZEWODNICZĄCY: Niech pani mówi.

WASIAK: To bardzo ważne, proszę pani.

STUDENTKA: Wszystko zależy od wielu czynników. W zasadzie, jeśli was pochowają w glebie łatwo przepuszczalnej, szybko się rozłożycie. W twardej i zbitej glebie zwłoki trzymają się dłużej.

To samo w trumnie metalowej. Temperatura też jest ważna.

PRZEWODNICZĄCY: Temperatura, powiada pani?

STUDENTKA: Yhm. Najniekorzystniejsza jest temperatura od 20 do 30 stopni

Celsjusza. Chyba, że nastąpi strupieszzenie.

WASIAK: Strupieszzenie?

STUDENTKA: Jeśli chcecie mieć dobrze zachowane szkieletki, to najlepiej niech was położy w torfowisku.

WASIAK: W torf, pani powiada? U nas nie ma torfowisk.

PRZEWODNICZĄCY: A byli, byli, panie nauczycielu. Jeszcze przed wojną były u nas torfowiska.

GŁOS Z WYKOPU: Gotowa jesteś?

STUDENTKA: Jeszcze coś rzucasz?

ANTROPOLOG: (z wykopu): Łap belfra, krzywonożę. No siup, trzymaj.
 (Z wykopu wylatuje czaszka, potem kości długie.)

WASIAK: (do Studentki): Przepraszam panię. Czy... to był... hm. Nauczyciel?

STUDENTKA: Leżał w grobie skurczony, przyciśnięty, z pokrzywionymi nogami. Przypominał mi mojego nauczyciela historii. Z powodu tych krzywych nóg.

WASIAK: (spogląda na swoje krzywe nogi): Nóg, pani powiada?

STUDENTKA: A teraz, aby się nam jego kostki nie pomylily z kostkami Przewodniczącego, Piaseczaka i innych panów, kopowym ołówkiem naznaczę mu na głowie numer pignasty. Potem zawiążę go w gazetkę.

WASIAK: Proszę pani, jeśli to rzeczywiście był ceniony pedagog, wydaje mi się że tak z nim postępować nie należy a w każdym razie nie sadze, aby konieczne było pisanie mu na głowie jakichś cyferek i zawiązywanie w gazetę.

PRZEWODNICZĄCY: Z burmistrzem Maurycym też chyba tak nie powinno się robić.

STUDENTKA: O wa, Czeka ich los o wiele gorszy.

WASIAK: Gorszy? Co pani chce z nim zrobić?

PRZEWODNICZĄCY: To są przecież szczałki ludzkie. Po ludzku je trzeba potraktować.

WASIAK: Tak. Humanitarnie.

PRZEWODNICZĄCY: Chęlibyśmy wiedzieć, jak postąpić z Przewodniczącym. Proszę pani, co z nim będzie?

STUDENTKA: A co ma być? To co zawsze.

Przyprawdzą taczki, wrzucą te paczuski i powiozą je do naszego obozu za miastem. Tam złożymy je w specjalnym namiocie, a po zakończeniu ekspedycji materiał kostny powieziemy do Instytutu.

PRZEWODNICZĄCY: I tak będzie z przewodniczącym?

STUDENTKA: Tak.

PRZEWODNICZĄCY: Z każdym przewodniczącym?

STUDENTKA: Z każdym przewodniczącym, którego wykopie.

PRZEWODNICZĄCY: Kiedy sobie pomyślę, że za lat paręnaście... jakaś miła, bardzo miła panią (kłania się dziewczynie), będzie tak „Hej, siupaj”, pod rzucić moją nóżką, moją rączką, „Hej, siupaj, trzymaj, łapaj” podrzucać będzie moja główka, nie czyni mi się wesoło na duszy.

STUDENTKA: (wzrusza ramionami): O wa; też ma się pan czym przejmować. Nie takie chorałki jak pan przechodził przez moje ręce. Spójrzcie na tego oto, w tej gazetce.

WASIAK: Na tego spojrzmy. (Wszyscy pochylają się nad paczką którą rozwija dziewczyna)

STUDENTKA: Rycerz to był znamienity. Ozdobał miał trumnę, ale z trumny tylko okucia żelazne zostały. Miecz miał wspaniały, ale tylko trochę rdzy przetrwało. Nosił ostrogi, na palcu miał pierścień. Szkieletki zachował się dobrze.

WASIAK: Jezus, Maria. Proszę państwa! To chyba niemożliwe. To chyba nie rycerz Zbylut z Paningrodu.

STUDENTKA: Może i Zbylut.

WASIAK: (rozgląda się wokół). Proszę państwa, nie chciałbym, aby to nasza młodzież widziała. To ponieważ bōhaterów narodowych.

STUDENTKA: Zbylut? Nie slyszalem o takim bohaterze.

WASIAK: Zbylut z Paningrodu. On który sam jeden przeciwstawił się nawale krzyżackiej i legł w obronie naszego miasta.

STUDENTKA: Owszem. Czerep miał mocno rozwalony.

PRZEWODNICZĄCY: Rzeczywiście.

WASIAK: To święte prochy. To kości bohatera. Cały rozdział w swej monografii historycznej pragnę poświęcić osobie rycerza Zbyluta z Paningrodu. Właśnie dzisiaj przez dwie godziny mówiłem młodzieży o Zbylucie z Paningrodu. Nigdy nie przypuszczałem, że zobaczę go w takim stanie...

PRZEWODNICZĄCY: Owina go w gazetkę.

STUDENTKA: (bierze do ręki gazetę): W nie najlepszą gazetkę.

PRZEWODNICZĄCY: Owiąż go papierowym sznurkiem.

WASIAK: Powiozą na łęczkach... Nie, proszę państwa. Tak nie można. To się nie godzi. To są prochy naszych przodków. Coś im się od nas należy. To był rycerz. On, proszę państwa, opierał się krzyżackiej zawierusze.

PRZEWODNICZĄCY: Oparł się?

WASIAK: Nie. Legł. Leczył to były nasze tutejsze Termopile. Nasza Somosierra, proszę państwa.

PRZEWODNICZĄCY: Wspaniale.

WASIAK: Dlatego, państwo wybaczą — ale ja muszę coś zrobić dla rycerza Zbyluta z Paningrodu. Państwo pozwól, że nobiegnę do domu i przyniosę jakąś sierzyneczke. Niechże ona, nie będzie owinięty w gazetę.

POLSKI UDZIAŁ

w obrazie

filmu światowego 1967

„Jaki film? Filmu nie ma. Film nie istnieje. Koniec. Kropka. Film to obecnie trup” — w taki sposób rozpoczął Roberto Rossellini wywiad — rozmowę z przedstawicielką tygodnika, Le Figaro Litteraire (numer z 6. X. 1966). I zaraz dodał ze smutkiem: „Balet cieni, jatwa igraszka, przedstawienie bez widzów! Na całym świecie film obumiera”.

Katastroficzną wypowiedź wielkiego twórcy filmowego, który w swoim czasie był ko rifeuszem odrodzenia sztuki kina przez odważne próby neorealizmu, wywołała w prasie światowej szerokie echa sprząciwów i wątpliwości. Wrażenie jednak pozostało. Choćby bowiem książki uliczne na całym świecie zawałone są kolorową prasą kinematograficzną, a neony nad wejściami do kinoteatrów błyszczą jak dawniej — powszechnie wiadomo, że monopol filmowych kręgów rozrywkowych i kulturalnych należało do przeszłości. Nie znaczy to, że film jako taki umarł, czy też umiera. Zmieniły się tylko sposoby i drogi jego działania. W godzinach przekazywania przez telewizję popularnych filmów seryjnych pustoszeją kawiarnie i sale kinoteatrów. Konkurencja jest tym razem bardzo silna. Bohaterowie filmów telewizyjnych nie są tak wspaniali, jak ongiś gwiazdy ekranu, są jednak bliżsi widzowi i częściej dostępni. W ten sposób dr Kildare — Chamberlain rozgrywa zwycięskie partie o popularność z Bondem O'Connery — a różne, prawie anonimowe bohaterki telewizyjnych serialów dystansują rozgłos Liz Taylor. A poza tym — jak zapytuje publicysta na łamach Arts Loisirs — „w jaki sposób można powstrzymać ludzi, by nie korzystali z widowiska, na które nie potrzebują wydać ani grosza?”

Film, ten tradycyjny, tzn. ten z kinoteatrów, nie kapituluje wobec innego kierunku

gustów masowych. Zajmuje tylko inne pozycje. I o tych pozycjach, odmienionych w skali światowej, będzie teraz mowa. Bo skoro kino zostało zdystansowane, skoro mieszczeń i niedzielny spacer układają swój wolny czas, istnieją na pewno dziedziny kultury, w których film ma do odegrania właściwą rolę. Kto wie, czy to nie właśnie teraz dokonuje się właściwa intubacja filmu w poczet sztuki? Wielkie dzieła i wielkie postaci (jak np. „Nietolewera” lub „Męczeństwo Joanny D'Arcy”, np. Chaplin, Eisenstein, Clair) zawsze dawały dorobkowi kinematografii światowej charakter twórczości, wyłaniającej się z oceanu faktów typu rozrywkowego. Teraz artystyczność filmu jako nurtu stałego — może dzięki coraz częstszemu filmom typu autorskiego — staje się jakby bardziej utwierdzona. Także w szeroko pojętej świadomości społecznej.

Gdy w Nowym Jorku bilet na premierę filmu „My fair lady” kosztuje 150 dolarów, świadczy to o niegasnącym mimo wszystko zapotrzebowaniu na dobrą, poprawną pod każdym względem formę kina. Gdy jednak w Warszawie bilet na którykolwiek z filmów Bergmana (podczas organizowanego w marcu 1967 przeglądu filmów szwedzkich) na nieoficjalnym „czarnym rynku” osiągał wysokość około 800 złotych — i gdy równocześnie byli tacy, którzy cenę tę placili — fakt ten ma swoje znaczenie, swoją wymowę. Nie temat, nie wystawa, nie kreacja aktorska, odgrywają tu rolę, ale nazwisko autora. Jak w literaturze, jak w malarstwie, jak w niewielu innych sztukach.

Jest coś nieznośnie krzykliwego w dyskursach podejmowanych co pewien czas na tematy związane z kinem. I z taką samą przesadną emfazą, jak niedawno jeszcze

gwiazdy ekranu, powołuje się na tron reżyserów filmowych. W proklamacjach tych biorą udział — o dziwo — nie tylko filmowcy. Aragon np. nazwał niedawno Godarda największym artystą filmu, ktoś inny obwołał go drugim Picassem, „Godard jest samym kinem” — zakomunikował publicysta pisma „Cinema e Film”. W stosunku do artystów pióra, pedzła i nut nie dokonuje się takich przetargów. Bo sztuki tradycyjne są ciche i dostojne. Film mówi trudno odczytać się swojej krzykliwość. Pocięcha w tym, że nowe kino autorskie, problemowe, artystyczne i doskonale może rozwinąć się już spokojnym nurtem. Pocięcha w tym również, że poważny dyskurs o filmie nowe już przybiera formy.

W światowym dyskursie o sztuce filmowej mówi się często o Polsce, ściślej o filmie polskim. Parę nazwisk twórców, parę tytułów dzieł — to znajdziemy dziś w każdym podręczniku historii filmu, w każdej większej publikacji. Nie jest to wystarczająca informacja o kinematograficznych polonikach. Ze wynałazca Kazimierz Prószyński, że pierwszy piszący o filmie — Matuszewski, że Irzykowski, że tytu innych — o tym milczą (może nie wiedzą) historycy kina światowego. Rozsławiony dopiero po II wojnie światowej sukcesami dokumentarystów i rozgłosem „Ostatniego etapu” oraz „Ullicy Granicznej” przeżył film polski okres wielkiej artystycznej prosperity w latach 1957—1961. Wtedy to zrodziła się nazwa tzw. „polskiej szkoły” — do dziś podtrzymywana przez wielu pisarzy. Seria festiwalowych sukcesów polskich filmów fabularnych skończyła się, film polski wszakże jako taki nie stracił swego miejsca w nurcie wydarzeń znaczących. Polskie filmy dokumentarne, poetyckie i popularno-naukowe wymieniane są stale w klasie wartości prawdziwych. Czy sztuka filmowa — jak literatura na przykład lub teatr — jest w korzeniach swych narodowa, czy też, jak malarstwo np. lub rzeźba, opiera się na ogólnoludzkiem, powszechnie jasnym alfabecie środków wyrazowych? Znowu problem poważny i rozstrzygnięty. Wydaje się ostatecznie. Przede wszystkim narodowy. Bergman jest szwedzki, Tarkowski rosyjski, Forman czeski, Richardson angielski, Bresson francuski a Passolini — włoski. Nawet panice z francuskiej Nouvelle Vague: Godard, Chabrol czy inni, przy całym swym kosmopolityzmie, ukazują swe wymyślone postaci i absurdałne sytuacje na tle autentycznej Francji. W ten sposób działają prawa

filmowej postaci realizmu, w ten sposób święci swe triumfy mariaż doświadczeń dokumentalnych z fabularną kreatywnością.

Jak więc na tym odcinku sztuki z udziałem Polski — jako partnera filmowego uniwersum? Trzeba od razu powiedzieć, że sukcesy tzw. „polskiej szkoły” na terenie międzynarodowym w dużej mierze związane były ze swego rodzaju egzotyki polskiej okupacyjnej tematyki. Przejawiła się ona najdobitniej w pewnym aspekcie twórczości Wajdy: „Kanał” — „Popiół i diament” — „Lotna”. Inne filmy, w oczach zagranicy, czerpały też z tej egzotyki. Nawet filozoficzne filmy Munka. Były próby innego włączenia się Polski do dyskursu sztuki filmowej: „Matka Joanna od Aniołów”, „Ostatni dzień lata”, „Nóż w wodzie” — próby te jednak nie otworzyły nurtu zwartego.

Jakie więc jest oblicze polskiej fabularnej twórczości filmowej? Jakże osobowości twórcze, jakie dzieła wybrane reprezentują ją wobec świata i wobec historii? Tej selekcji trzeba dokonać koniecznie, by zrozumieć istotę zagadnienia. Jakie dzieła są najbardziej typowe? Większość zagranicznych historii filmu, leksykonów i raptularzy wymienia przede wszystkim „Popiół i diament”, „Kanał”, „Ostatni etap”, „Eroicę”. Wybór chyba bardzo trafny, choć definio- wymienną poprzednio egzotyki losu Polaków. Nie jest to sprawa zamknięta. Dojdą do listy też inne jeszcze tytuły — coś z Konwickiego, coś ze Skolimowskiego, może Has, może Majewski.

Jeśli więc trzeba decydować się na selekcję godnych uwagi faktów polskiego filmu — dla celów historii i dla prostszej dyskusji, spróbujmy powiedzieć tak: czterech twórców typu autorskiego: Munk — Wajda — Konwicki — Skolimowski. Z całą ich twórczością, nie można bowiem prawdziwego artysty traktować z zastrzeżeniami lub „na wrywkę”. A do tego docho- dzą trzej inni typu ściśle reżyserskiego. Inaczej mówiąc: nie autorzy, lecz interpretatorzy cudzych pomysłów. To Has — Kawalerowicz — Ford. I jeden przedstawiciel doskona- łego popularnego, plebejskiego, popularnego nurtu kina: Leonard Buczkowski. Wystarczy wspomnieć „Zakazane piosenki”, „Skarb”, „Orla” oraz „Marysia i Napoleona” z ich kapitalną i zasłużoną popularnością na zagranicznych ekranach. Te osobowości twórcze nie wyczerpują na pewno całego, godnego uwagi obrazu obecnej sztuki filmowej w Polsce. Trzeba pamiętać o

Różewiczu, o Majewskim, mo- że o Klubię czy innych jesz- cze. Pozostają reprezentacji filmu poetyckiego z Lenica, Borowczykiem, Szezechura oraz Gierszem, twórcy doku- mentalni jak Karabasz, Slesicki, Kwiatkowska, Halladin i inni. Nie idzie o pełną listę zasługujących, idzie o tych, którzy już włączyli polskie głosy do dyskursu ogólnego, światowego — toczącego przez film i literaturę na temat pryncypiów istnienia.

Myślę, że jest już w tym dyskursie pewne polskie dzieło o wadze nie zwykłej. Jest to „Pasażerka” Andrzeja Munka. Dzieło to dostrzeżone już zostało przez krytyków i przez zagraniczne kręgi miłośników kina. Dzieło to nie- łatwe w problematyce i formie. Nie dziwnego, że w rynkowej popularności dystanso- wane jest przez różne „Nóż w wodzie”. W „Pasażerce” łączy się w jedno różne prze- kroje dzieła. Ostra, aktualna wymowa polityczna z filozoficz- ną tezą godności człowieka — a do tego nowatorska forma o niespotykanym piek- nie i harmonii. Dzieło Munka staje w rzędzie najwybitniej- szych wypowiedzi artystycz- nych świata. W ostrości rozu- mowania i przekonywania do równie najsilniejszym wzorom literackim. I jednocześnie daje sztuce filmowej nowe propo- zycje, nowe rozwiązania for- malne. „Pasażerka” jest wybit- ną formacją języka sztuki filmowej.

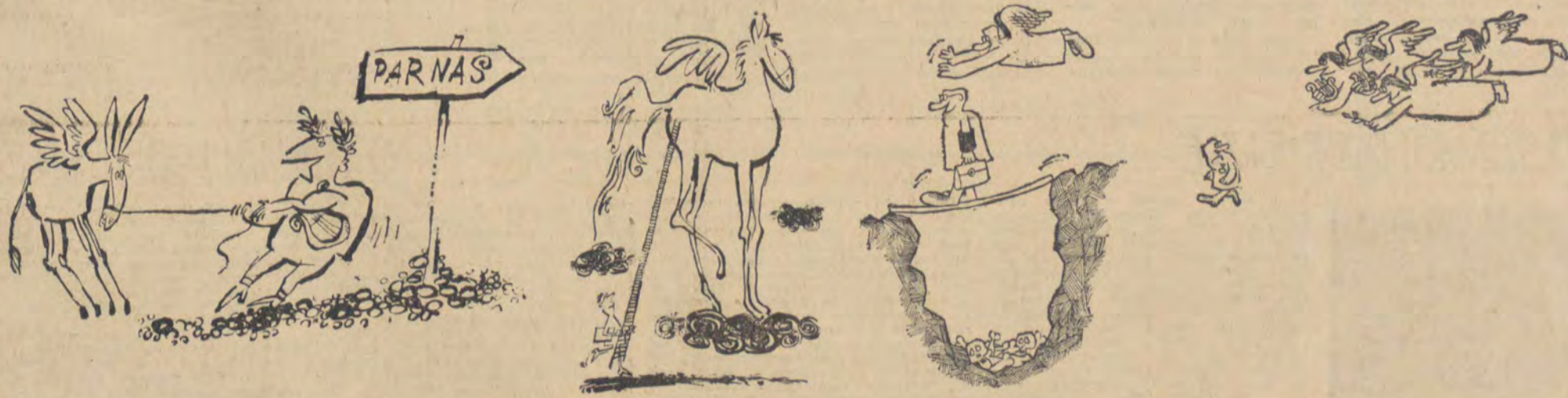
Ten aspekt sprawy — for- malny i prawie językoznaw- czy — posiada swoją zaostro- ną wymowę w chwili obec- nej. Od paru lat — co nap- rawde dziwne, choć dla lu- dzi nauki naturalne — kine- matografia, nawet ta popu- larna, przeżywa fale zaintere- sowań semantycznych. Zaczyna być dla wielu miłośni- ków kina sprawa ważną, czy film posiada własny język środków wyrazowych i jakie- go typu jest to język. Czy tylko wyrażeniu wzruszeń artystycznych służący, czy też obszerniejszy, powszechniejszy, bardziej precyzyjny — jak normalna mowa ludzka. Pro- blem ten dziś, w dobie praw- dziwego apogeum, tzw. kultu- ry ikonicznej, jest naprawdę ważny i wykracza poza sferę samych — tylko — wzruszeń kinowych. Jest to sprawa przejmowania przez film wielu pozycji filozoficznych i dyskursywnych, należących dotychczas tylko do literatury. Były w historii sztuki — pisze o tym Arnold Hauser — momenty, gdy do- strzeżono dojrzałość estetycz- na filmu. Obecnie trzeba kwitować stoletni jego dojrza- łości intelektualnej. Sa dzieła filmowe, stanowiące doku- ment tej dojrzałości. Twórczość Bergmana, twórczość

Antonioniego, twórczość Alai- na Resnais. Polska dołącza się tu z twórczością Konwic- kiego i Munka. A przede wszystkim „Salto” i wspom- niana dopiero co „Pasażerka”.

Wspomniano poprzednio pewną smutną wypowiedź Ro- berta Rossellini na łamach Le Figaro Litteraire. Zaczernijmy z wypowiedzi tej jeszcze jedno sformułowa- nie. Rossellini tak mówi o języku filmowym: „Śmiechu warte. Strukturalizm, poszu- kiwanie nowego języka, opo- wieść ekspresjonistyczna, wysublimowana akcja... Mówmy serio. To wszystko się nie li- czy. Ważne jest to, co się o- powiada. Forma to dodatek — jeśli jest skuteczna, zawsze poruszy widza”. I dalej: „Cze- ka nas totalna rewolucja, nie tylko w filmie, ale we wszyst- kich dziedzinach sztuki... Je- śli człowiek nie zdobędzie się na historyczną wizję rzeczy, jeśli nie zdoła uplasować się i oceniać siebie w ramach hi- storii ludzkości, jeśli nie natu- czy się zdobywać swego miej- sca w nurcie postępu — bę- dzie zgubiony. Zdystansowany, nie nie zdoła zrozumieć. Stąd też jedynym środkiem zrów- nania poziomu postępu tech- nicznego z postępnem intelek- tualnym i ludzkim jest wiedz- da, poznanie, nauka. A naj- szybszą i najdostępniejszą dziś metodą nauczania — jest obraz”.

Tyle Rossellini. Choć w in- nym jeszcze miejscu cytowa- nej tu wypowiedzi wyraził się tak: „Wszystko, co się dzieje w filmie, jest całkowite zbyteczne”, — pozostał po tej wypowiedzi optymisty- czne przekonanie o potrze- bie i możliwościach dyskursu światowego, prowadzonego za pomocą mowy ludzkiej i przy pomocy dzieł sztuki. I dlate- go, tak dziś aktualne, prawie modne, rozważania o seman- tyzmie sztuki filmowej po- winny być właściwie docenia- ne. Język każdy jest narzę- dziem wymiany myśli, okrę- ślają ścisłych, przestróg i na- kazów. Ten ton znany jest i stosowany w światowym nurcie filmu myślicy. W nurcie tym jednym z elemen- tów jest polski film Andrzeja Munka: „Pasażerka”. Brama, przez którą wejda inne pol- skie filmy tejże klasy myślo- wej.

Czeskie żarty z poetów



JAN KOPROWSKI

Współczesne opowiadania Łobody

Roman Łoboda należy do tych autorów średniego już chyba pokolenia, którzy równoległe uprawiają poezję i prozę. Z zestawie- nia tego dotychczasowego dorobku wynika, że oglą- sza on na przemian tom wierszy i tom prozy. 1959

— zbiorek wierszy „Szósty smak”. 1963 — powieść „Korzenie obok rzeki” (na- wiąsem mówiąc nagrodzo- na na konkursie literac- kim) oraz, w tym samym jeszeze roku, „Wspomnienie drzewa”. 1965 — powieść „Podwój- ny rozdział”. 1967 — wiersze „Okrągły sen” i tom opowiadań „Skoki”. O tych „Skokach” będzie tu słów kilkor. Przede wszyst- kim stwierdzmy od razu, że jest to zbiór opowiadań o tematyce współczesnej. Akcja wszystkich utworów dzieje się dziś i teraz, a jeśli autor zapuszcza się w przeszłość, zresztą nie narzyt odległa, to jedynie w tzw. partiach retrospek- tywnych. „Skoki” nie są antologią utworów, pisa- nych i gromadzonych przez wiele lat, lecz zestawem

skomponowanym według pewnej myśli przewodniej, według pewnej porządku- jacej je filozofii. Jakby można, najkrócej i naj- zwężej, określić zamysł tego tomu? Ludzie nie są zadowole- ni z życia, które im zosta- ło darowane. Nie są zado- woleni z przeszłości, któ- ra bądź chcieli by ukryć, bądź zmienić czyli zmilo- logizować w legendę. Nie są zadowoleni z tego, co jest, co robia. Chcą czegoś innego, choć nie zawsze dobrze wiedzą, czego. Bo- haterowie opowiadań Ło- body widzą siebie samych inaczej, walczą z powse- dnieścią, z rzeczywistością, która zazwyczaj jest upad- kiem myśli i marzenia. W tym sensie prozę Łobody można by określić mianem „egzystencjalnej”. Ludzie

wyrwają się z piekła co- dzienności, zyciowego ba- nału, z okowów uświęco- nego a także niekiedy do- kuczliwego obyczaju. Dru- ga sprawa to obsesja. Bo- haterów opowiadań Ło- body trawia prężność, re- czywiste i urojone, udre- ki. Maż cierpi, że dzie- cko, które mu urodziła żo- na, nie jest jego dzie- ckiem. Dziewczynie doskwie- ra świadomość jakiejś nie- zrealizowanej „karjery ero- tycznej”. Bohater nie mo- że sobie wybaczyć, że stracił nogi w sposób wła- śnie nie bohatercki, w stanie alkoholowego zamrocze- nia. Powtarzam: mamy do czynienia z obsesjami rzeczywistymi i urojonymi, ale i w jed- nym i w drugim przypad- ku nosicielami ich są lu- dzie, którzy dręczą się i

unieszczęśliwiają. I w tym tkwi chyba ogólnie huma- nistyczna wymowa tych opowiadań, prawda w nich zawarta, ważkość i komu- nikatywność. Co mnie osobiście zjed- nuje do opowiadań Ło- body, to obecna w nich cieni- nika warstwa humoru. Ale nie humoru sytuacyj- nego, o który trudno w utworach o cechach raczej dramatycznych. Mam na myśli humor „słowny”, tkwiący w warstwie języ- kowej i stylotwórczej, w sposobie prowadzenia nar- racji. Widzę w tym duży atut prozy Łobody, który — mam nadzieję — właści- we mu poczucie humoru i groteski rozwinię w przy- szłych swolch pracach. Łoboda dba o rozmaitość formalną opowiadań. Stop-

suje opis i dialog, mono- log wewnętrzny i wynurze- nie pamiętnikarskie, wsku- tek czego nie nuży na ogół czytelnika. Mówię: na ogół, gdyż nie udało mu się usz- recz całkowicie pewnych dłuższych i „rozwałkowa- nia” nastroju. Za szcze- gólnie cenne w tych opi- niach uważam wła- śnie dialogi. Dialog w pro- zie „zdradza” nie tylko u- mniejętności pisarskie, nie tylko obiektywizuje zachowanie się ludzi, dialog „zdradza” istotną wiedzę autora o jego bohaterach. Łoboda posiada wyczu- cie języka potocznego, lek- kiego się znajomości róż- nych środków, zwłaszcza miejskich. Łoboda posiada ponadto „muzyczne ucho”. Dialogi jego postaci prze- konują nas autentyzmem środowiskowym i zawodo-

wym, ale także układają się w pewien rytm osy- blowości i językowych czy frazeologicznych przypadko- wości. Na tym tle musza niepo- koić pewne „przetysowa- nia” stylistyczne, niezmy- ślone w dodatku nie uzasa- dniające. Myślę, że autor mógłby sobie darować ta- kie, na przykład, formuły stylistyczne: „Gdy więc ujrzałem z wysokości wstrząsu elektrycznego ten fałszykact moich jader...”, które rozkładają się w nie- przystające do kontekstu i urody.

Roman Łoboda: „Skoki”, opowiadania, Wyd. Łódzkie 1967, str. 173, ce- na: zł 12. Obwołuje pro- jektował Jerzy Sowiński,

„ROZMOWA”
— „ŚWIĘTA”

Człowiek jest bytem odrębnym; zatem w najgłębszych, osobistych odczuciach samotny; wobec tego dwoje ludzi, to nie jedność.

Stwierdzenie tak oczywiste, że aż banalne.

Claude Mauriac napisał dramę o kobiecie i mężczyźnie, którzy żyją ze sobą najbliższą, przez długie lata; łączą ich wszystko, co może łączyć odmienne płci, a jednocześnie nie łączą — są sobie dalecy i obcy. Na zewnątrz wydają się zgodni, wychowują dzieci, żyją ze sobą aż do końca, to znaczy do śmierci jednego z nich.

Można by powiedzieć, że właściwie, to... w porządku. Można by powiedzieć, że duża większość ludzi w ten sposób żyje, a zatem o co chodzi, gdzie tu tragedia?

Alte rzecz w tym, że bliskość fizyczna, bez bliskości psychicznej jest tragedią, niezależnie od tego jakie by funkcje społeczne czy inne mogli taki związek spełniać. Rzecz w tym, że pragnienie jednoźnienia wszystkich władz fizycznych i psychicznych jest nieodłączną prawie każdemu Claude Mauriac, syn Francois Mauriac, laureata Nagrody Nobla 1952 r. napisał sztukę teatralną pt. „Rozmowa”. Rozmowa ludzi, którzy w zasadzie nie mają siebie do powiedzenia. Jest to pierwsza sztuka Mauriac przełożona na język polski. Siła tego dramatu, na pozór mieszczańskiego, leży nie tylko w jego prostocie i przeobrażającej oczywistości, lecz przede wszystkim w uogólnieniu, które obnaża kapitulację człowieka w walce z czasem.

Tak, z czasem, Mauriac, nawet z pewnym natręctwem, stale powtarza: czas nieubłagany niszczy każdy związek kobiety z mężczyzną i niech się nie wydaje następnym pokoleniom, że będą mądrzejsze od poprzednich. To nie jest ilustracja bądź co bądź „zwyčajnego” życia, zwyczajnej rozmowy — nierozmowy, to jest próba wykazania prawidłowości.

Sztuka jest przejmująco bolesna, gdyż odwołuje się prostymi środkami do naszej pamięci, do doświadczenia wielu pokoleń.

Wszelako Mauriac kończy na tym swoje pesymistyczne rozważania; wprowadzie nie stawia kropek nad i, ale również nie wychodzi poza prawdę tylekroć już rozważaną na deskach scenicznych (i nie tylko) przez wiele poprzedników, nie wyliczając swego znakomitego ojca. Autor „Rozmowy” podaje nam przejmujący dokument prawdy w sposób inny na tle „bie-



żącej produkcji” dramaturgicznej.

W „Rozmowie” wszystko znaczy, to co znaczy, nie ma tu wieloznaczności i metafizycznych powiewów, ani nawet symboliki. Uogólnienie Mauriac, nie jest typu filozoficznego; on tylko powtarza za innymi, że czas wszystko niszczy. Powtarza to jednak z dużą siłą i demonstrowując przejętą tezę na przykładzie niezwykle sugestywnym i, jak to się zwykle ma w typowym.

Zachwyty Ionesco „Rozmowa” są nieco na wyrost, Ionesco „dzisiejszy” może sobie na to pozwolić w stosunku do Mauriac — syna.

Claude Mauriac stwierdza niemożność porozumienia się dwojga ludzi odmiennej płci, którym „wypadło” żyć razem (to wypadło może mieć różny początek, różny przebieg i różny koniec). I tylko to — mówi Mauriac — a już tragedia. Tak przynajmniej „Rozmowa” odbiera widzowi i tak ją ocenia krytyka. Tragedia nie w tym, co jest w „Rozmowie”, tylko w tym czego tu nie ma. Stał nasz smutek. Nowy wymiar zagadnienia to pragnienie. Pragnienie zespolenia. Dość patetyczny zdanie, ale nie ja je wymyśliłem, tylko widzowi, która przeciętny styl życia, przeciętne stadła nazywa tragedią. Dłwne. Teatr to potęga. Przecież na co dzień nikt by nie nazwał życia sąsiada tragedią, nawet żyjąc z jego żoną. Na co dzień piętnujemy tych, którzy usiłują ziszczyć „pragnienie”.

Znowu duże brawa dla Teatru Jaracza za brapremiero. Gdyby nie pewne dłużyzny

— szczególnie zbyt pedantycznie potraktowana pragmatyka czasu; zbyt szczegółowe wyliczanki, z których można było zrezygnować — więc gdyby nie pewne dłużyzny, to spektakl byłby dobry.

Jerzy Przybylski, jak zwykle, trafił w „punkt”. (Ludwik Wyrazisty, nieco groteskowy i swobodny, Maria Kozierska (Kobieta) sugestywna w partiach konfliktowych i ironicznych. Z trudnego i przydługiego monologu (a gdy poszedł maż na wojnę) wyszła zwycięsko. Kazimierz Iwiński (Mężczyzna), Bardzo równy, ale może troszeczkę za stonowany. Dobrze udał się dialog myśli (Kozierska — Przybylski) przy akompaniowaniu dialogu słów. Pozostali aktorzy (Bożena Darlakówna, Wiesław Ochmanski, Hanna Boratyńska, Eugeniusz Korczarowski, Ewa Mirowska, Bogumił Antczak i Leokadia Piłarska) dostrzili się do poziomu kolegów grających główne role.

Scenografia (Władysław Dąszewski) prosta i stwarzająca odpowiedni klimat „Rozmowie”.

Po „Rozmowie” wydaje się rozsądne, że Joanna wybrała świętość i zachowała dzieciństwo. Ale i świętość ma swoje cienie. Jak słusznie dowodził Shaw świętość jest również trudna, niebezpieczna i nie znajduje trwałego zrozumienia u innych. Szczególnie świętość wojująca.

Dziś święta dziewczina jest już przeżytkiem i nie muszę o tym nikogo przekonywać. George Bernard Shaw, wojujący antymieszczanin dożył późnego wieku dzięki poczu-

ciu humoru. Kto wie co by było, gdyby go nie posiadał. „Święta Joanna” nie została przez autora „Pygmaliona” potraktowana ze śmiertelną powagą, co dało się odczuć w łódzkim spektaklu. Jednakże w pewnych sekwencjach pojawił się humor w zbyt wielkich dawkach, w innych ironia w zbyt skromnych. Sądzę że pierwsza scena nieco przesolono rubaszością, a później brakło tej szczypty sceptycznego humoru, szczególnie w miejscach zderzeń świętej niewinności z mechanizmem nieubłaganych racji historycznych. Opowieść o Świętej Joannie jest racjonalistyczna, lecz nieco już przestarzała lekcja historii. W 1923 r. była to lekcja, której spłót ironii i patetyzmu nie wydawał się tak przydługi jak obecnie.

A propos patetyzmu: Joanna, ona właśnie jest czysta nicia w społeciu. Narastanie żarliwości i fanatyzmu aż do wielkiej rezygnacji, zwycięskiej rezygnacji, jest w tej roli sprawą wytrzymałości i nieustannej koncentracji aktorskiej. Pola Raksa ujmuje wdziękiem, kruchością, wierzy się, że podbiła serca Bernarda z Poulanga (Aleksander Fogiel), kapitana La Hira (Lucjan Wiernik), Dunois, bękarta Orleańskiego (Zbigniew Niewczas), a nawet Delfina (Janusz Kubicki) pociągnęła za sobą, gdyż działały tu dodatkowe siły determinacji historycznej i... bezwładu. W tym miejscu nasuwa mi się pewna wątpliwość: czyżby Delfin nie był wystarczająco śmieszny — jeżeli w ogóle o śmieśność tu chodzi — przez swoją pochliwość, dziwactwa i brak charakteru, czy czysto techniczne, farsowe figielki bardziej rysowały postać niewydarzonego Delfina?

Jest to wątpliwość niewinna. Rzecz jednak w tym, że Delfin w ogóle wydaje się bardziej wycwaniony niż płochliwy. Cwaniactwo to, jest z gatunku heejj... siup... gdy inni pchają... Czy takim chciał widzieć Shaw Delfina na scenie? Być może, być może, jeżeli zważy się „sposob bycia” Delfina, gdy jest już mocno dojrzałym Karolem VII. Ta scena, to znaczy epilog sztuki, wydaje się najbardziej w stylu ironicznego obrazoburcy i żarliwego rozbijacza konwencji aż do formy teatralnej włącznie. Nie trzeba bowiem zapominać, że Shaw przychylił się do obalenia — słowo zbyt silne i nieprawdziwe — podważenia jednowładztwa kanonów dawnego teatru, oddając dialogowi pierwszeństwo przed akcją. A dialog ten jest inteligentny, błyskotliwy, atakujący; godzi w zmurszałość i stęchłą sztywność świata tego.

Historia, albo raczej chwila historyczna wzięła na swój użytek taką Joannę, jaką ona była, a jaką była, nikt dobrze nie pamięta. Kanonizowano ją po przeszło pięciuset latach (1920 r.) mając tę pewność, że święta była niewątpliwie, gdyż prosta wieśniaczka, która przywróciła tron królowi i została spalona przez

Inkwizycję na stosie nie mogła być nieświęta. Ironii tego faktu nie wymyślił Shaw, wymyśliła ją w życiu. Shaw jednakże wyposażył Joannę w cechy proste i wzniosłe — uczynił z niej uosobienie i syntezę francuskich mas ludowych.

Joanna Shawa słyszała głosy, głos Boga i świętych. Była nawiedzona tak wszechstronnie, że jej racje były racjami stanu. W tym usytuowaniu wojownicza święta musi być czysta (na scenie) jak źródło majowego poranku (!), żarliwa a pełna mistycznego ognia. Raksa musiała wtrzymać te wahania temperatur, zachowując krzepką chłopskość i świeży wdźwięk gdzie trzeba.

Dla normalnego śmiertelnika zbyt wiecie, dla utalentowanej a młodej aktorki też co nieco.

Ęgzaltacja na co dzień, rzecz poniekąd męcząca, świętej niekiedy przystoi, szczególnie gdy w mistycznym porwywie wiedzie innych do zwycięstwa, a siebie na stos.

Tak więc na ironicznym tle panoramy historycznej postać Joanny jest namalowana przez poważnego Shawa, rewolucjonistę.

Tak więc po głębszym namyśle nie wydaje się znowu takie rozsądne, że Joanna wybrała świętość i zachowała dzieciństwo. W ogóle nie wiadomo czy wybierała cokolwiek.

Trochę pewniejsze wydaje się wszelako, po „Rozmowie” i „Świętości”, że czas to wartość bardziej rysowały postać niewydarzonego Delfina?

Na zakończenie odczucie wrażeniowca: odniosłem wrażenie, że „westalem” filozoficznego i jakby ponadczasowego sceptycyzmu w „Świętej” Shaw mianował Ryszarda z Beauchamp, hrabiego Warwicka. Nieże ten hrabia (Miroslaw Szonert) dawał sobie radę z intencją autora.

Marian Stańczak — scenografia; aluzyjna jak epilog, natomiast w solidności kostiumów epoka wypowiedziała się szczegółowiej.

DRUGI CZYTELNIKU! Redakcja prosi Cię o wyrażenie opinii o „ODGŁOSACH”. W naszej ankiecie zaznacz znakami plus (+) działy, które Cię interesują i które uważasz za dobrze redagowane. Znakami minus (-) zaznacz te działy, które oceniasz negatywnie.

Prosimy Cię również o łaskawe uwagi o naszym piśmie.

Każda nadana ankieta weźmie udział w comiesięcznym losowaniu cennych nagród książkowych, a redakcja pomoże w lepszym zrozumieniu potrzeb czytelnicych Łodzi i regionu łódzkiego.

Wypełnione ankiety prosimy nadsyłać do redakcji „Od-głosów”, na adres: Łódź, ul. Piotrkowska 96.

	+	-
rozmowy i wywiady		
sprawy międzynarodowe		
zagadnienia ekonomiczne		
problemy społeczne		
reportaże		
opowiadania i fragmenty powieści		
poezja		
recenzje książkowe i teatralne		
film i TV		
teletony		

O czym jeszcze chciałbyś czytać w „Od-głosach”?

Nazwisko i imię : : : : : :

wiek : : : : : :

zawód : : : : : :

adres : : : : : :

SPEKTAKLE tygodnia

Teatr		
NOWY	„Sen srebrny Salomei”, 2 spektakle	1400 — 100%
NOWY	„Słuby panienskie”, 2 spektakle	1000 — 70%
	„Szkłana menażeria”, 1 spektakl	200 — 100%
Mala Sala	„Kartoteka”, 2 spektakle	400 — 100%
POWSZECHNY	„Święta Joanna”, 1 spektakl	600 — 91%
	„Mocne uderzenie”, 1 spektakl	580 — 90%
	„Derby w palacu”, 1 spektakl	520 — 84%
JARACZA	„Mój biedny Marik”, 2 spektakle	1280 — 100%
(Moniuszki 4)	„Namiestnik”, 3 spektakle	1860 — 100%
7,15	„Przyznanie”, 3 spektakle	1260 — 100%
TZE	„Droga do Czarnolasu”, 5 spektakli	1330 — 93%
	„Trudna miłość”, 5 spektakli	1580 — 100%
OPERETKA	„Fantastyczny rejs”, 6 spektakli	5060 — 75%
TEATR WIELKI	„Carmen”, 2 spektakle	2532 — 100%
	„Straszny Dwór”, 2 spektakle	2532 — 100%
	„Rigolotto”, 1 spektakl	1276 — 100%
	„Książę Igor”, 1 spektakl	1276 — 100%
FILHARMONIA	2 koncerty symf.	800 słuchaczy 70%
	1 koncert popularny	750 słuchaczy 100%

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Jak wiemy istnieje w Polsce pewna oala filmów, których obejrzenie możliwe jest tylko na ekranie Kina Studyjnego. W bieżącym miesiącu kino to zaprezentowało film, który dla widzów polskich stanowi sensację o szczególnym posmak. Więści o sukcesach Romana Polańskiego docierały do Polski z okazji światowych premier takich jego filmów jak: „Wstret”, „Matnia”, „Zabójcy wampirów”. W „Konfrontacjach 66” pokazano polskim widzom „Matnie”. Obecnie na ekranie kina „Stylowy” pojawił się pierwszy „angielski” film Polańskiego „Wstret”. Oba te filmy bezspornie potwierdziły talent twórcy „Noża w wodzie”.

Nie wiem czy słowo talent, użyte tutaj jako specjalny wyróżnik nie nasunęło mi się przekorne na skutek światła domości, że tym rasowym człowiekiem kina jest reżyser polski „Wstret”, bo o nim dziś mówić będziemy, jest wielkim popisem umiejętności sztuki reżyserskiej. Podziw dla tych umiejętności twórców nam w czasie całego filmu. Potwierdza to każda scena, więcej nawet, każdy prze-

myślny do najdrobniejszych szczegółów kadr filmu. W filmie Polańskiego zdumiewa bowiem nie tylko zdolność prowadzenia narracji, oszalałajacy, głów nie dzieki montażowi, rytm filmu, zwłaszcza konsekwencja, lecz również abalność o kompozycję każdego kadru, o to w zamkniętym świecie bohaterki film nabierała specyficznych znaczeń. Bardzo rzadko mamy do czynienia z tak znakomitą doskonałością formy jak w wypadku tego filmu. Jeszcze rzadziej jednak tego typu doskonałością zwracać się może przeciwko jej twórcy. A tak się chyba stało w przypadku tego filmu.

„Wstret” jest opowieścią, nie, to nie dobrane określenie, jest analiza rozwoju procesu chorobowego u młodej dziewczyny — schizofreniczki. Uczestniczymy w procesie narastania szaleństwa, obserwujemy zachowanie i reakcje chorej dziewczyny, chwilami widzimy otaczający ją świat rzeczywisty i obywatelski, a chwilami uczestniczymy w obsesyjnych wizjach. Nie moim zadaniem jest oceniać merytoryczną wartość tego przejmującego studium psy-

chopatologicznego stanu bohaterki, choć jest ono na tyle sugestywne, że każde nam wierzyć w jego trafność. Moja opinia dotyczy innej sprawy do jej wypowiedzenia upoważnia mnie — zwykły, człowieczy punkt widzenia — pytanie — czemu służy ten cały film? Czy temat daje reżyserowi możliwość zaprezentowania dużej klasy kultury realizatorskiej? — Na pewno tak — mówiliśmy o tym. Czy służy penetracji i prezentacji terenów tak nieznanymi jak świat przeżył człowieka psychicznie chorego? — Oczywiście tak. Obrazów tego świata Polański nam nie szczędził, zaspokaja nasza ciekawość. Czemu jednak służy ta penetracja? Czy badaniu naukowemu, czy może tylko wyrażeniu ludzkiego wspaniałostwa i uczuciu tego uczucia lub zwrocentu uwagi na fakt narastania choroby psychicznych wśród ludzi naszych czasów, szukaniu przyczyn? Nie, tych funkcji filmowi Polańskiego przyisać nie możemy. Film bowiem stonniowo, gradując nastroje i efekty zmierza coraz szybciej w kierunku filmu grozy. Po to, by w swym zakończeniu błysnąć znakomitą sceną o charakterze pełnej

groteski. W tym momencie „cmokierzy filmowi” mówić będą, że Polański za kpił z widzów, zaspokoił ich ciekawość przez wprowadzenie ich w niezmany świat, dał im wielką, podniecającą porcję grozy, a potem zażmiał się prosto w nos. I tak jest rzeczywiście.

Roman Polański nie lubi ludzi, jego filmy zrobione są przeciw nim. Widac to szczególnie silnie w „Matni”. Jego analizy ludzkich działań i postaw moralnych są zimna kalkulacja i stawianiem diagnoz, którym nie towarzyszy żaden odruch serca.

„Wstret” moglibyśmy potraktować jako wyzwanie racuone najgorszym gu stom publiczności, lecz przypomnijmy sobie, punkt wyjścia tego wywodu — doskonałość formy zwróciła się przeciwko jej twórcy. Ona spowodowała to, że film ten pozyskał tyle znakomych opinii ludzi na Zachodzie. Ona jednak nas buntuje przeciw niewspółmierności formy i tematu, idel, wymowy moralnej, buntuje przeciwko „angielskiemu” Polańskiemu. Wolimy go w „polskim” wydaniu, wolimy go w „Dwóch ludzi z szafą” i „Nóż w wodzie”.

Ewa Muszyńska

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrepcje



„KUSZENIE ŚWIĘTEGO ANTONIEGO”

Do dzieł, które po latach częściowego lub całkowitego zapomnienia przeżywają nagłe swój renesans i to zazwyczaj przez nowoczesną interpretację dzieła, należy m. in. dramat Gustawa Flauberta pt. „Kuszenie świętego Antoniego”. Inspiracją dla powstania tego dramatu był podobno obraz Breughela. Utkwił on w pamięci Flauberta i sprawił, że pisarz przez lat trzydziście blisko pracował nad tym tematem. Napisał aż trzy wersje sztuki. Pierwsza ukończył, gdy miał lat dwadzieścia cztery, ostatnia, gdy był po pięćdziesiątce. Podczas upływu tego czasu miał wiele sukcesów, ale i wiele przeżył tragedii, wiele przemyślał i w wiele wartości wątpił. I oto trzecia wersja „Kuszenia świętego Antoniego” powstaje, gdy Flaubert czuje się opuszczony przez wszystkich, gdy przeżywa utratę bliskich mu osób, gdy jego najbliższy przyjaciel umiera. Wypadki historyczne nie pozostają bez wpływu na depresję duchową autora.

Sztuka zbudowana na antycznej zasadzie dramatycznej jedności akcji, miejsca i czasu w zasadzie ma konstrukcję prostą. Oto widzimy świętego Antoniego, który samotny na pustyni (jak wówczas, gdy to pisał czuł się samotny i opuszczony sam Flaubert), uśmiechający i wygłodniały, ulega widzeniu. Zjawia się przed nim demon przybierający najrozmaitsze postacie, np. królowej Saby, Buddy, bogini Izis, greckiej bogini miłości Venus. Mamy także przedstawienie siedmiu grzechów głównych. Gdy zjawiają się przedstawicieli

cieli różnych religii, wyznań, kierunków filozofii, autor ustami scenicznych postaci wyklada m. in. zasady filozofii hinduskiej lub zreby myśli chaldejskiej. Mamy więc do czynienia z dziełem, które wystawione na scenie, byłoby dla dzisiejszego widza raczej nużące i chyba nie we wszystkich fragmentach dostatecznie komunikatywne.

Alle kierownik słynnego baletu Maurice Béjart (o którym wspominaliśmy kilkakrotnie, a który twierdzi, że wszystko można przedstawić w balecie) zrobił z „Kuszenia świętego Antoniego” widowisko pełne rozmachu, fantazji, jednocześnie surowe i barwne, a nawet szalone. Widowisko, o którym recenzenci twierdzą, że zapomnieć o nim nie można. Wśród doskonałych dekoracji, baletowa grupa Béjarta śpiewa ów dramat, tańczy go, wykrykuje. Nawet dla zagorzałych i wyrafinowanych miłośników sztuki scenicznej, którzy niejednemu balet oglądali i nie na jednym widowisku byli, to co pokazał Béjart jest wyjątkowo interesujące i udane. Béjart twierdzi, że z tekstem Flauberta zapoznał się, gdy miał lat dwanaście, i że sztuka zrobiła na nim silne wrażenie.

MIEDZYNARODOWE TARGI KSIĄZEK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

W salach średnio-wiecznego Palazzo del Podesta w Bolonii odbyły się IV Międzynarodowe Targi Książek dla Dzieci i Młodzieży. Sa to jedne tego rodzaju targi na świecie. Wzięło w nich udział 200 wydawców z 21 krajów. Pierwszą nagrodę za obracanie graficzne otrzymała

mała książeczka dla dzieci, bogato i barwnie ilustrowana, wydawcy z Ravensburga. Drugą nagrodę otrzymało wydawnictwo z Pragi czeskiej za nowoczesnie zilustrowaną książkę dla młodzieży, trzecią zaś nagrodę zdobył jeden z wydawców nowojorskich.

W tym roku po raz pierwszy na targi zaproszono do Bolonii czterdziestu siedmiu ilustratorów książek dla dzieci i młodzieży. Przybyli oni z różnych krajów świata. Urządzono specjalną wystawę składającą się z około pięciuset projektów ilustracji do książek.

NAJWYŻSZA CENA ZA OBRAZ PICASSA

Ostatnio w Londynie na licytacji obrazów płótno Picassa, namalowane w Barcelonie w roku 1902, a przedstawiające matkę z dzieckiem, osiągnęło najwyższą cenę, jaką kiedykolwiek zapłacono za obraz Picassa, a mianowicie 190 000 funtów szterlingów.

Obraz Picassa kupił amerykański właściciel galerii obrazów w Nowym Jorku, David Mann. Oświadczył on, że dzieło nabył w celu odprężenia pewnej osobie. Oświadczył następnie, że gotów był, gdyby zasłało tego konieczność, zapłacić za obraz 210 tysięcy funtów.

WYSTAWA DZIEŁ GEORGES BRAQUE'A

Z okazji 450-lecia założenia Hawru jako portu, muzeum w tym mieście urządza wystawę Georges Braque'a artysty związanego z Hawrem. Braque urodził się w Hawrze i spędził tam swą



Maska z Konga. Ze zbiorów Picassa.

młodość, a następnie czas to odwiedzał rodzinne miasto.

W 1890 r. ojciec artysty osiedlił się w Hawrze, gdzie był właścicielem przedsiębiorstwa wykonu

jącego roboty malarskie. W chwilach wolnych malował pejzaże.

Mając lat 18 Georges Braque przybywa do Paryża. Tutaj wraz ze swymi dwoma kolegami z Hawru, Dufy i Frieszem, studiują malarstwo impresjonistyczne, potem fascynują się fowizmem. Ale Braque nie na długo ulega wpływom tego kierunku. Maluje nie więcej niż 30 płócien w tym stylu.

Wielka wystawa obrazów Cézanne'a w Salonie Jesiennym w 1907 r. odkrywa przed Braque'em nowe horyzonty, ośniony nowymi możliwościami malarstwa, zachwycony obrazem Picasa pt. „Demoiselles d'Avignon”. Braque pracuje nad rozwojem swego talentu.

W latach 1907 do 1914 Braque i Picasso malują w podobnym stylu, który ostatecznie otrzymuje na zwę kubizmu. „Nazwę tę — napisze Guillaume Apollinaire — w zamierzeniu kpiąca, nadał jej w jesieni 1908 roku Henri Matisse po obejrzeniu pewnego obrazu, przedstawiającego domy, których kubiczne kształty zwróciły jego uwagę” (cytat w tłum. J. J. Szczepańskiego).

Drogi artystyczne Picassa i Braque'a rozchodzą się później całkowicie. Gdy Picasso przechodzi ciągle zmiany swego ekspansywnego twórczego stylu, Braque pozostaje w swej twórczości wierny zamilowaniu do spokoju i refleksyjności. Jego ulubionym powidzeniem było: „Lubię gdy reguły korygują emocje”. Jego ulubionymi tematami są pejzaż i martwa natura. Georges Braque umarł w 1963 roku.

NIE MOŻNA MIEĆ TRZYNASTEJ KOPII RZEZBY RODINA

Na krótko przed swą śmiercią August Rodin (umarł 17 listopada 1917 roku) napisał swoje dzieła państwu, pod tym jednak warunkiem, że poświęcone mu muzeum znajdzie się tam, gdzie była jego pracownia, tj. w paryskim pałacu Birron.

Muzeum Rodina dość skromnie dotowane przez państwo, utrzymuje się z opłat za wstęp pobieranych od zwiedzających. Opiekę nad muzeum sprawują siostry zakonne. Testament Rodina zawierał jeszcze jeden warunek. Oto wielki artysta, pozwalał na wykonywanie odlewów swych rzeźb, ale tylko do liczby dwunastu. Nie wolno w dług tego warunku sporządzić więcej trzynastej kopii.

Na rynku sprzedaży dzieł sztuki wywołało to specyficzne skutki. Oto gdy zbliża się sprzedaż dwunastej kopii, ceny ich gwałtownie wzrasta-

ją. Pojawili się handlarze dziełami sztuki, którzy kupują od razu po kilka kopii, przetrzymują je czekając, aż dwunasta kopia zostanie wykonana. Wtedy te egzemplarze, które zakupili i przechowali, nabierają ogromnej ceny. Wiadomo bowiem, że trzynastej kopii już nie będzie.

SZTUKA WSPÓŁCZESNA I GOTYK

Taki jest temat tegorocznej wystawy jaka odbędzie się w zamku Hluboká w południowej Czechosłowacji. W przyszłym roku odbędzie się wystawa sztuki ludowej z regionów południowej Czechosłowacji. Organizatorzy przystąpili już do



zbierania i przygotowywania eksponatów takich jak wycinanki, malarstwo na szkle i ceramika.

PRZED STULECIEM URODZIN GORKIEGO

28 marca 1968 r. przypada setna rocznica urodzin Maksyma Gorkiego (właściwie nazwisko: Aleksiej Maksymowicz Pieszkow). Ogromną część rękopisów Gorkiego znajduje się w Związku Radzieckim i jest drobniogowo i starannie studiowana. Jed-



Maksym Gorki w karykaturze Kukryniksów (1934 r.).

ROSY ARMEN PO POWROTCIE Z ZSRR

W paryskiej „Olympii” odbył się niedawno występ pieśniarki Rosy Armen po jej powrocie



Rosy Armen

ze Związku Radzieckiego. O karierze Armen pisaliśmy w zeszłym roku. Przypominamy, że ta francuska piosenkarka jest z pochodzenia Ormiańką. Gdy pewnego razu występowała przed mikrofonem radia Monte Carlo usłyszano ją w dalekiej Armenii. Jej rodzina tak podobał się śpiew Rosy, że wysłano do niej zaproszenie, aby przyjechała do Związku Radzieckiego. Rosy pojechała tam i dała szereg koncertów w Erewaniu i wielu innych miastach Związku Radzieckiego, zdobywając ogromne uznanie. Obecnie Rosy Armen włączyła do swego repertuaru piosenki i pieśni jakiejś przywoźnia z Armeńskiej SRR. Niektóre z tych utworów napisał dla niej Chaczaturian. Recenzenci podkreślają, że to właśnie u twórcy przywiezione z Armenii, Rosy śpiewa najbardziej, a paryskiej publiczności podobają się one najbardziej.

nak część rękopisów rozsiada jest po całym świecie. Najważniejszym więc zadaniem badaczy twórczości Gorkiego stało się obecnie zebrać i przestudiować wszystkie to, co wyszło spod pióra wielkiego pisarza.

Rękopisy Gorkiego znajdują się jeszcze głównie w Stanach Zjednoczonych, we Francji i Szwajcarii.

Z tygodnia na tydzień

Ostateczne podsumowanie wyników wielkiego Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych przyniosło sukces łódzkiej WKZZ. Zajęła IV miejsce w klasyfikacji ogólnopolskiej, a II w pionie województwa uprzemysłowionych. Zespół teatralny Do mu Kultury im. Dzierżyńskiego okazał się najlepszy wśród 400 w kraju, a teatr estrady ZDK im. Marchlewskiego zajął I miejsce wśród 512 zespołów tego typu. W sumie łódzka organizacja związkowa zdobyła 19 nagród i wyróżnień. Zyczyć tylko należy, by aktywność kulturalna obudowana festiwalami nie była aktywnością jubileuszową, by działała następnie 1000 lat w takim samym natężeniu.

A jeśli mowa o jubileuszach, to zdarza się ich ostatnio coraz mniej. Wszystkie 20-letni już świętują swoje rocznice, jeszcze od czasu do czasu przypominają się 10-latkami. Właśnie swój 10-letni jubileusz święci FILMOS — Centralna Filmowa Oświatowa Instytucja, o której mówi się raczej tylko okolicznościowo, a niesłusznie to, bo działalność Filmosu jest wyjątkowo pożyteczna. Z kimże on nie utrzymuje kontaktów: szkoły i milicja, PGR i domy kultury, zakłady przemysłowe i kółka rolnicze, Towarzystwo Wiedzy Powszechnej i Zw. Zawodowy Budowlanych... Dla wszystkich ma filmy. O Henryku Sienkiewiczu i bezpieczeństwie ruchu drogowego, o zabytkach wawelskich i racjonalnej gospodarce hodowlanej. Można by zresztą wliczać tak bez końca. Filmos dysponuje dziś czterema tysiącami tytułów, piętnastoma tysiącami kopii. W ciągu 10 lat obejrzało je prawie jedenastę i pół miliona widzów, 80 procent widzów stanowi młodzież szkolna Łodzi i województwa.

Dziś poza Filmosem są już kłopoty z aparaturą projekcyjną. Dzisiejsze troski można efektywnie nazywać trudnościami wzrostu. Nie trzeba już namawiać szkół, by wypożyczały filmy. Zapotrzebowanie wzrasta szybciej niż możliwości zaspokojenia. Tworzy się więc całe zastawy dostosowane do programów nauczania. Współpraca z zakładami pracy, związkami zawodowymi dopiero się rozwija. Przy pomocy filmów instrukcyjnych propagujących nowe metody pracy, szkoli się załogi w budownictwie, transporcie, włókiennictwie. Z włókiennictwem nieco gorzej, w naszym mieście brak filmów o tej tematyce. Choć jest wytwórnia, są fachowcy i jest zapotrzebowanie. Czegoś jednak brak.

Natomiast z bogatego ze stawa filmów o tematyce społeczno-politycznej, kulturalnej, propagandowo-wychowawczej niezbyt chętnie korzystają świetlice przyzakładowe i organizacje młodzieżowe.

W planach Filmosu znajdują się pozycje takie jak zorganizowanie stałego ośrodka poradnictwa filmograficznego i metodycznego w dziedzinie wykorzystania filmu dla szkolenia i nauczania, organizowanie pokazów nowości filmowych dla nauczycieli, przedstawicieli placówek kulturalno - oświatowych, zakładów pracy itd. Zyczymy powodzenia.

KLEMENTYNA

Notatki na MARGINESIE

Ostatnia reforma egzaminów maturalnych obrodziła nam w piękne owoce: każdy jako tako inteligentny uczeń zarzuca już w X klasie naukę języka polskiego, wie bowiem, że wystarczy napisać pracę maturalną z polską na trójce (co potrafi każdy osioł), by nie zdawać egzaminu ustnego z tego przedmiotu.

Nie więc dziwnego, że licea opuszczają absolwenci, których ogólna wiedza humanistyczna — jak wykazują chociażby egzaminy wstępne na wyższe u-

czelnie — budzi zgrozę, śmiech, litość, itp. itd. Nasza redakcja chciała w tym roku przedstawić swym czytelnikom relację o ustnych egzaminach maturalnych. Niestety, zamiaru tego nie zrealizujemy. W czasach gdy dziennikarze obserwują start rakiet kosmicznych, manewry przy użyciu najnowszych broni atomowych oraz narady dyplomatów na najwyższym szczeblu — nowe matury zostały utajnione i Kuratorium, powołując się na de-cyzyje wyższych władz oświatowych odmówiło nam zezwolenia na udział w egzaminach — w charakterze obserwatorów.

I słusznie: po cóż niepokoić społeczeństwo relacjami o owocach reformy matur? Czyż nie lepiej sprawę przemilczeć?

Przez długie lata nie nauczyłem się oszczędzać — i, o wstydy! — w kraju oszczędzających nie mam nawet książeczki PKO. Ale o to w r. 1967 przylałałem się po raz

pierwszy w życiu — na sknerstwie: nie wydałem zaskórniaka przeznaczony na doroczną Kiermasz Książek. I teraz, zdumiony tym faktem zadaje sobie wciąż to samo pytanie: czy to świadczy o mym zapóźnieniu w objawach skąpstwa — czy może (ziel) o atrakcyjności książki przy gotowanych w tym roku na kiermasz?

Jeśli już mówimy o bublach: W studenckim pochodzie otwierającym Juvvenalia dostrzegłem panienkę, która na sempernie wymalowała sobie znak pierwszej jakości. To prze-niesienie handlowych obyczajów w sferę tradycyjnie — nazwijmy to tak — intymną, trochę mnie zaniepokoiło. A przy tym: czy to aby nie przejaw megalomanii?

Spytałem więc stojącego obok faceta o wyglądzie znawcy przedmiotu, co o tym sądzi? E, panie — powiedział tonem rozdrażnionym — To ma być pierwsza jakość? Przecież to „bubel”...

Znacie państwo ten kawał? Nauczyciel wyjaśnił znaczenie słowa „skojzarzenie” i sprawdził czy uczniowie go zrozumieć. Z czym ci się kojarzy. Pip-scińska, chusteczka do nosa? Z katarrem, panie porze. Bardzo dobrze. A tobie, Matulewicz? Z prawowaniem? Bardzo dobrze. A tobie, Gwizdała? Gwizdała repetyuje trzeci rok, jest „przeośnity”, przysz-cząty. Na pytanie daję o powieść natychmiast i bez zastanowienia: z dupa, panie porze... Dlaczego? — pyta zdumiony belfer — Nie wiem dlaczego, panie porze. Wzdech Gwizdała, ale mnie się ostatnio wszystko kojarzy z dupa... Przypomniałem — te wyświechtane — historyjki (dwukrotnie używając, staro, zasłużonego, czteroliterowego słowa) po to, by:

— uchronić się przed ewentualnym zarzutem pruderii; — zgłosić pretensje pod adresem naszych łódzkich studentów. Dowcipy, jakie nam za-demostrowali w pochodzie otwierającym Juvvenalia obracali się w 95 proc.

wokół wyżej wspomnianej pożytecznej i zasłużonej części ciała. Uśmiewając się z pierwszego żartu, przy dziesiątym wruszałymi ramionami, a przy piętnastym, dwudziestym i dal-szych doznawaliśmy uczucia zakłopotania. Bowiem, dawno już powinniśmy byli wrzucić się do misania pracy doktorskiej pt. „Jed-nomznaczność szczytów szkolnych w kształtowaniu psychiki wieku dojrzewania”.

Na dorocznej wystawie psów rozmyślałem o tym, jak bardzo ludzie przywią-zują się do czworonogów: akurat przed 22 lata pow-na Niemka, galewając się łzami, opowiadała mi, jak to w czasie oblężenia Ber-lina zmuszona była upiec i zjeść swego starego ralterka. — Taki był żyłasty — tkala owa dama, patrząc przez łzy na pamiętkowe zdjęcie swego ulubieńca. — I koniec wojny był już tak blisko!

16 maja w TV dyskusja o tzw. filmach GROZY, z

udziałem panów Drakull, Frankensteina, King-Konga, Fuksiewicza, Kalużyńskiego i Wittlina. Gdy wy-laczyłem odbiornik — Gro za pozostała i tej nocy śnił mi się panowie — Drakula, Frankenstein, King-Kong, Fuksiewicz, Kalużyński i Wittlin.

Jeśli o snach mowa: Zby-szek Wojciechowski, chyba najbogatszy w pomysły dziennikarz łódzki, wyjaw-ił w numerze 20 „Dookoła Świata” co się śnił jego kolegom z Łódzkiej Roz-głośni Polskiego Radia. Rzecz warta przeczytania. I tak dowiadujemy się np. że Wiestawowi Jajdzyn-skiemu, popularnemu liter-atrowi i felietoniście, śni się, iż jak kret drąży pod ziemią korytarze a potem chodzi po nominacje. Przeczytawszy to, zdumia-łem się niezmiernie! Bowiem cóż to za niezwykły zbieg okoliczności! Przecież mnie też nieraz się śniło, iż Wiestaw Jaj-z-dyński drąży pod ziemią korytarze a potem chodzi po nominacje.

Maksym Błachnik

Jeden sprawiedliwy?

Opinia publiczna Stanów Zjednoczonych, informowana jednostronnie i fałszywie, bardzo nerwowo przyjęła reportaż Lee Lockwood, pierwszego dziennikarza amerykańskiego, który odwiedziwszy DRW odważył się — choć wstrzymując się, lecz przeciw uczucie — odmalować obraz bohaterstwa kraju toczącego wojnę o niepodległość. Reportaż ten obala wiele kłamliwych tez wietnamskiej polityki USA — a w pierwszym rzędzie wykazuje, że bombardowania godzą w ludność cywilną, i że ich strategiczny skutek jest co najmniej wątpliwy.

Chciałem zobaczyć Wietnam północny. Udałem się więc na Kubę, bo Hawana to jedyna stolica na półkuli zachodniej, gdzie Wietnam ma swoją ambasadę. Chcąc jednak dotrzeć do Hanoi, musiałem przejechać Meksyk, San Francisco, Tokio, Hong-Kong i Phnom Penh, stolicę Kambodży. Stąd samolotem Międzynarodowej Komisji Kontroli wyruszyłem do Hanoi. Samolot do Hanoi leci tylko dwa razy w tygodniu — we wtorek i w piątek. Stary czteromotorowy Boeing 307 startuje z Vientiane w Laosie i trzydziestokilometrową szerokość korytarzem powietrznym leci do Hanoi. Trasa lotu jest rygorystycznie przestrzegana. Chcąc zobaczyć z drogi trzeba mieć specjalne zezwolenie od władz półn. Wietnamu, od dowództwa lotnictwa St. Zjednoczonych, od dowództwa wojsk Laosu i od komendanta wojskowego Pathet Lao. Bez tych zezwoleń, każdy samolot napotkany poza korytarzem jest uważany za nieprzyjacielski.

Punktualnie o godz. 19.05 znalazłem się nad Hanoi. Dotknawszy ziemi lotniska Gia Lam samolot dostał się pod ostrzał reflektorów, po czym już kołował w całkowitej ciemności. Naprzeciw mnie wyszedł mały Wietnamiczek. — „Pan Lee Lockwood? Witam Pana w naszym kraju” — powiedział wręczając mi bukiet kwiatów. Pan Lang z Ministerstwa Spraw Zagranicznych pomógł mi załatwić formalności celne i sanitarne, a potem oświadczył, że właściwie powinien zabrać mi taśmę kolorową, nie czyni jednak tego, pozwala bym ją wziąć do notetu pod warunkiem, że nie będę jej używał. Chcąc fotografować na kolorze trzeba mieć w Wietnamie specjalne pozwolenie, ale jest mało prawdopodobne, abym je mógł otrzymać.

Jechaliśmy do miasta czarnym Moskwiem przez stary most Doumer — dziś Long Bien, na rzece Czerwonej, która łączy Hanoi z Haiphongiem. Most Doumer jest podzielony na dwie części, z obu jego stron ciągną się wąskie drożki dla pieszych dźwigających ciężary. Oto i hotel Thong Nhat — mieszkańcy Hanoi nazywają go po dawnemu Metropoli. Ten dzwiny budynek może z powodzeniem być w filmach policyjnych centralą szpiegowską. Hotelowa kuchnia przygotowuje posiłki zarówno wschodnie jak i europejskie, a w małym barze znaleźć można wszelkiego ro-

dzaju trunki. Co wieczór schodzą się tutaj Polacy, Kubańcy, Francuzi, Niemcy, Rosjanie, Anglicy, Kanadyjczycy, Mongołowie, Rumuni, Koreańczycy, Afrykanie — nieraz przychodzi tu kilku Chińczyków. Wieczór, w którym przybyłem pozwałam zapomnieć o wojnie. Obchodzono właśnie święto Tet — początek nowego roku buddyjskiego. Petardy głużyły daleki huk bombardowań.

Życie w Hanoi rozpoczyna się o świcie. O 6.30 ulice zapelniają się tłumem rowerzystów, a wielki dom towarowy Bach Hoa Tong Hoj, otwarty zaledwie godzinie dziennie, pełny jest ludzi kupujących sandały, ubrania, zabawki i słodycze. Na ulicy co szósty człowiek nosi mundur.

Połowę czasu jaki spędziłem w Wietnamie północnym zajęły mi sprawy urzędowe, a raczej formalności biurokratyczne. Nie czulem się odosobniony, w tej samej sytuacji znajdowali się również inni dziennikarze zagraniczni, nie wyłączając komunistów. Zważywszy, że jestem Amerykaninem, który znalazł się w kraju nieprzyjaciela, nie dziwiły mnie zbyt rygorystycznym byłym poddany Zabronono mi przebywania w pobliżu urządzeń wojskowych, fotografowania mostów, kolei, ewakuowanych fabryk, czy też ubogich dzielnic. W Hanoi towarzyszył mi stałe tłumacz, a kiedy wyjeżdżałem na wieś, miałem co najmniej dwóch opiekunów. Przez pierwsze 10 dni cały mój materiał fotoreporterski władze wietnamskie dokładnie sprawdzały. Niebawem otrzymałem nawet pozwolenie fotografowania na kolorze. Zamiechano również sprawdzeń. W Hanoi mogłem poruszać się o każdej godzinie dnia i nocy, ale bez aparatu fotograficznego.

Zanim przybyłem tutaj znalazłem wszystkie reportaże z Wietnamu, ale rozmiar zniszczeń spowodowanych bombardowaniem amerykańskim zaskoczył mnie. W Hanoi, podczas bombardowania w dniach 13 i 14 grudnia ub. roku największej ucierpiał dzielnice mieszkalne w okolicach ulicy Nhu Yeen Thap, równoległej do kolejowej arterii Hanoi — Haiphong. Zważywszy, że celem ataku była linia kolejowa, rzucone bomby padając 10 metrów od celu zburzyły przeszło 50 domów.

Autostrada nr 1 — główna arteria wylotowa na południe, wygląda jakby ją przeorały plugi, pełno tu

lejęw po bombach, w najlepszym razie zaspanych ziemia. Na przedmieściu Hanoi, na przestrzeni 25 km, wszystkie domy wzdłuż autostrady są zburzone. Wszystkie mosty — nawet te najmniejsze — były przynajmniej raz bombardowane, a te największe zastąpiono mostami pontonowymi. Wzdłuż głównej linii kolejowej ciągną się w równych odstępach podwójne przyny podkładów kolejowych i innych materiałów, przy których pracują oddziały dzweczki i chłopcy naprawiających zniszczenia. Nocą, droga nr 1, ciągną nie kończące się sznurzy ciężarówek rosyjskich, chińskich, japońskich, i obładowane rowery prowadzone ręcznie.

Pewnej nocy, podróżując z Thang Hoa do Nam Dinh, mijalem konwój 47 samochodów ciężarowych czekających na przeprawę pontonową. Naprzeciw 52 ciężarówce czekały, aby jechać na północ.

Jak donosi pewien dziennikarz amerykański, miasteczko Phu Ly, główny węzeł kolejowy na południe od Hanoi, zostało zmiecione z powierzchni ziemi nalotem dywanowym. 7.700 mieszkańców tego miasteczka częściowo ewakuowano. Jak mówi miejscowy kolejarz, miasteczko przeżyło 40 bombardowań. Ulice mają tu smutny cmentarny. Setki domów, szkoły, kościoły, szpitale są dziś kupa gruzów.

Nam Dinh — do niedawna trzęsicie co do wielkości miasto północnego Wietnamu — zniszczyły samoloty siódmej floty, stacjonującej w Zatoce Tonkijskiej. Na południe od rzeki Czarnej — lepianki katolickiej wioski Phong Lac, Atak bombardowców w dniu 13 grudnia 1966 zmienił je w pyl. 15 osób zabitych, 17 ciężko rannych. Znajdujące się niedaleko największe w kraju zakłady włókiennicze były wielokrotnie bombardowane — dziś pracują tylko niektóre oddziały. Thang Hoa, inne większe miasto północnego Wietnamu, Dzielnice otaczające centrum są całkowicie zrujnowane z ziemi. Domy które ocalały są puste.

— „Dla nas — mówi burmistrz Thang Hoa — miasto przestało istnieć”.

Podczas mego tam pobytu byłem świadkiem aż 19 nowych ataków powietrznych. Bomby padały na przedmieścia, które jeszcze wtedy istniały. Podczas jednego z ataków stracono samolot amerykański. Spadł na pole ryżowe. Pilot, który zdołał się uratować został natychmiast zabrany przez Wietnamiczków. Nie pozwolono mi zbliżyć się do niego.

Phat Diem — ośrodek rolniczy — 5500 mieszkańców, oddalony o ca 8 km od Zatoeki Tonkijskiej. Mówiono mi, że bombardowano go 80 razy. Z 6 kościołów katolickich — 5 rozwalily bomby. Miasto przedstawia całkowitą ruinę. Wieś Antiem w środku delty rzeki Czerwonej — najurodzajniejszy okręg ryżowy — tutaj — mówią mieszkańcy — oewnego październikowego poranka dwa samoloty amerykańskie zrzucały 4 bomby. Dwie z nich spadły na skraj wioski, trzecia na budynek szkolny, zabijając 30 dzieci i nauczycielkę, czwarta trafiła w schron, grzebiąc w nim 9 osób. Na moje pytanie, czy wioska nie ma obrony przeciwlotniczej, otrzymałem odpowiedź: — „nie mamy nawet fuzji”.

Oburzenie mieszkańców północnego Wietnamu budzi przede wszystkim broń CBU, jaką stosują Amerykanie. Jest to rodzaj pocisku, eksplodującego nad ziemią. Wyrzuca on około 300 małych kul wielkości 3-4 ki, a każda z nich uderzając, rozrzuca we wszystkich kierunkach setki maleńkich piłeczek pokrytych zapalającą substancją. Ślady pocisków w CBU widziałem na własne oczy w fabryce Viet Tri, na północnym zachodzie od Hanoi: jej ściany wyglądały tak jak twarz naznaczona ospą. Pewnego dnia dr Le Han Sun zawiadomił mnie, że większy szpital, w którym pracuje, uszkodziły pociski CBU. Maleńkie kulki tkwiły wszędzie, w biurku, w krzesłach, w sterylizatorach, w instrumentach, w ścianach, mimo że pocisk wybuchł poza obrebram szpitala. Wielu chłopów zginęło. Pewna 18-letnia dziewczyna została trafiona 4 pociskami w ramię, w brzuch, w głowę, w twarz.

Mieszkańcy północnego Wietnamu, z którymi niejednokrotnie rozmawiałem uważają, że St. Zjednoczone prowadzi wojnę w celach wyłącznie imperialistycznych. Bombardowanie bardzo silnie zaciążyło na gospodarce Wietnamu północnego. Fabryki przeniesiono w różne rejony wiejskie, ośrodki urbanistyczne zostały w ten sposób odciążone. Dzieci i starców oraz tysiące nauczycieli przesiedlono w głąb kraju.

W północnym Wietnamie nie widziałem głodu. Podstawowe artykuły żywnościowe jak mięso, ryby, czy ryż są w miastach racjonowane, na wsi natomiast jest wszystko. To co najsilniej uderza człowieka przy-

bywającego do północnego Wietnamu, to dojrzałość jego mieszkańców i ich poczucie obowiązku. Wietnamiczy i ich poczucie obowiązku, cierpliwie i pracowicie wykonują swoje codzienne prace — nieraz bardzo uciążliwe i trudne — to czego nie mogą zrobić dziś czy jutro — zrobiają na pewno pojutrze. Ludzie są spokojni i opanowani — wierzą, że warunki w jakich dziś żyją, potrafią znieść w nieskończoność. Każdy z kim rozmawiałem na wsi czy w mieście — nie stawiał znaku równości między mną — obywatelam amerykańskim — a bombardującym ich kraj pilotami przybyłymi z Ameryki. Wszyscy wierzą, że wolanie wzdłuż ulic zostaną niebawem Johna Johnsona do tego, aby uległ woli narodu amerykańskiego, który przeciwny jest wojnie.

Kiedy wracając do Ameryki opuszczając Hanoi droga do portu lotniczego wiodła w pobliżu fabryki przygotowującej cylindry i pokrywy cementowe na schrony, które draży się we wszystkich prawie chodnikach. Setki takich cylindrów ustawione wzdłuż ulic zostaną niebawem wkopane w ziemię. Myślałem jak jeszcze długo i ile takich schronów trzeba będzie kopać... Poznałem ludzi Wietnamu północnego i wiem, że są gotowi budować schrony, budować setki schronów, nie licząc ani czasu ani wysiłku, że są zdecydowani szukać w nich schronienia tak długo jak to będzie konieczne.

LEE LOCKWOOD
Tłum.: M. TYMOWSKA



Lewym okiem

O UŚMIECHACH I GRYMASACH FORTUNY

Uczniowie szkół podstawowych i średnich to mają dobre awansują co rok. Wprawdzie niezupełnie automatycznie, czasem rzecz musi trwać dwa lata, całkiem rzadko nawet trzy, ale mimo wszystko ogromna większość — naturalnie przy niezaprzeczanym nakładzie pracy — awansuje. I już potem żadna siła nie sprawi, żeby taki awans uznać za niebyły.

W wojsku już jest trochę gorzej — awanse przychodzą rzadziej. Ale przecież jeśli już w uznaniu odpowiednich zdolności, pracy, zastug, lat służby — dadzą człowiekowi gwiazdkę, to odebrać ją można tylko w wyjątkowych okolicznościach. Zupełnie inaczej mają się sprawy w życiu największej grupy społeczeństwa, w grupie pracujących, dorosłych, cywilnych ludzi. Tak na zdrowy rozum biorąc, to w tym środowisku żadne zastugi, zdolności, lata służby nie stanowią trwałego dorobku człowieka, nie pomazają go, są przelotnym uśmiechem fortuny, jakże często zamieniającym się w grymasy gorzkości i krzywdy.

W lutym bieżącego roku pisał w „Życiu Warszawy” Mirosław Żulawski („Pochwała urzędowania”) o dużej godności zawodu urzędniczego w wielu krajach, a pogardzie tego zawodu —

u nas. Nie można dobrze pełnić zawodu, który społeczeństwo lekceważy i wściekle ośmiesza. Można go pełnić dobrze, jeśli daje perspektywę prawdziwego awansowania, to znaczy awansowania nieodwracalnego, trwałego. Ktoś jest na przykład wiele lat inspektorem, po czym zostaje starszym inspektorem. Założmy, że przyznano mu ten stopień nie dlatego, że instytucja otrzymała dodatkowy fundusz plac, że gość dobrze gra w brydża i że trafił na etat, zajmowany poprzednio przez starszego inspektora. Założmy, że awans uzasadniony był sprawiedliwą oceną indywidualnych zdolności i zalet pracownika. (Dla ścisłości: założenie takie nie jest zbyt realne, dopóki wydziały kadr zajmują się wyłącznie ewidencją obecności, delegacji i zwolnień chorobowych).

Starszy inspektor otrzymuje wyższą pensję. Potem może zostanie nadinspektorem z jeszcze wyższą pensją. Potem arcyninspektorem z jeszcze wyższą. A potem z jakiegoś tam powodu zmieni instytucję i wszystko przestanie się liczyć, zalety uzna się za niebyłe, gościa przyjmą znów na młodszego referenta.

Wiele u nas podejmowano inicjatyw, mających zapobiec płynności kadr. Wprawdzie Machejek w „Życiu Literackim” pisał, a „Kultura” z entuzjazmem cytowała, że nie ma nie gorszego nad zasiadającego urzędnika: że należałoby spowodować jak największą płynność, dopiero wtedy zniknie biurokracja. Był to jednak głos bardzo bojowy niż fachowy. Na ogół chcemy stabilizować kadry i dużo bożców na ten kierunek się stawia. No, ale zdążyć się, że nadinspektor wcale nie zmienia pracy, tylko zmienia swa wewnętrzna organizację jego instytucji. Ponieważ w wyniku zmiany spada fundusz plac — daje się nadinspektorowi wypowiedzenie i przyjmuje z powrotem jako inspektora. Bez wyroku sądowego i bez przestępstwa.

Albo nawet nic się nie reorganizuje, tylko wychodzi w „Monitorze” nowa siatka plac. I okazuje się, że trzeba by pracownikowi dodać trzy-sta złotych, żeby zostawił go przy tytule nadinspektora. To co się robi? Daje się wypowiedzenie i dawaj — coja w inspektor. A nawet i bez wypowiedzenia, skoro — mówi się — w złotówkach nie pan przecież nie traci. Nie mówi się tylko, że traci perspektywę na podniesienie płacy, i zapomina się o tym, że on już skończył siedem klas, to dlaczego ma się cofnąć do piątej?

Czy z powyższych wywodów wynika, że np. naczelnik wydziału musi być dożywotnio naczelnikiem, obojętnie w jakiej branży?

Wcale nie. Dobrze zorganizowane państwo dawno już tę sprawę rozstrzygnęły: czym innym jest tam stopień służbowy, a czym innym funkcja, czyli stanowisko. Stopnie — jak w wojsku — są nieodwracalne, bo wynikają z coraz lepszych kwalifikacji pracownika, są jego najprawdziwszym i jedynym dorobkiem; nikt przecież już nie cięta pieniędzy na domek z ogródkiem! Wysokość pensji jest oczywiście związana ze stopniem. A funkcja, stanowisko — jest powierzoną na dłuższy lub krócej, czasem na bardzo długo, zadaniem do wykonania i związany jest z nim dodatek funkcyjny. Porucznik ma pensję porucznika, a jeśli stame się dowódcą kompanii — otrzyma od tej pensji dodatek, przysługujący dowódcy kompanii. A potem może awansuje na kapitana, ale niekoniecznie. Jakie zaufanie, jakie poczucie wartości swego zawodu, swych kwalifikacji, celowości swych starań ma mieć urzędnik, który raz jest kapralem, potem sierżantem, potem — jak się podstarzeje — gefrajtem lub na nowo rekrutem?

To jest bardzo ważna rzecz, naprawdę. Ale kto zwróci uwagę

na ĆWIEKA?